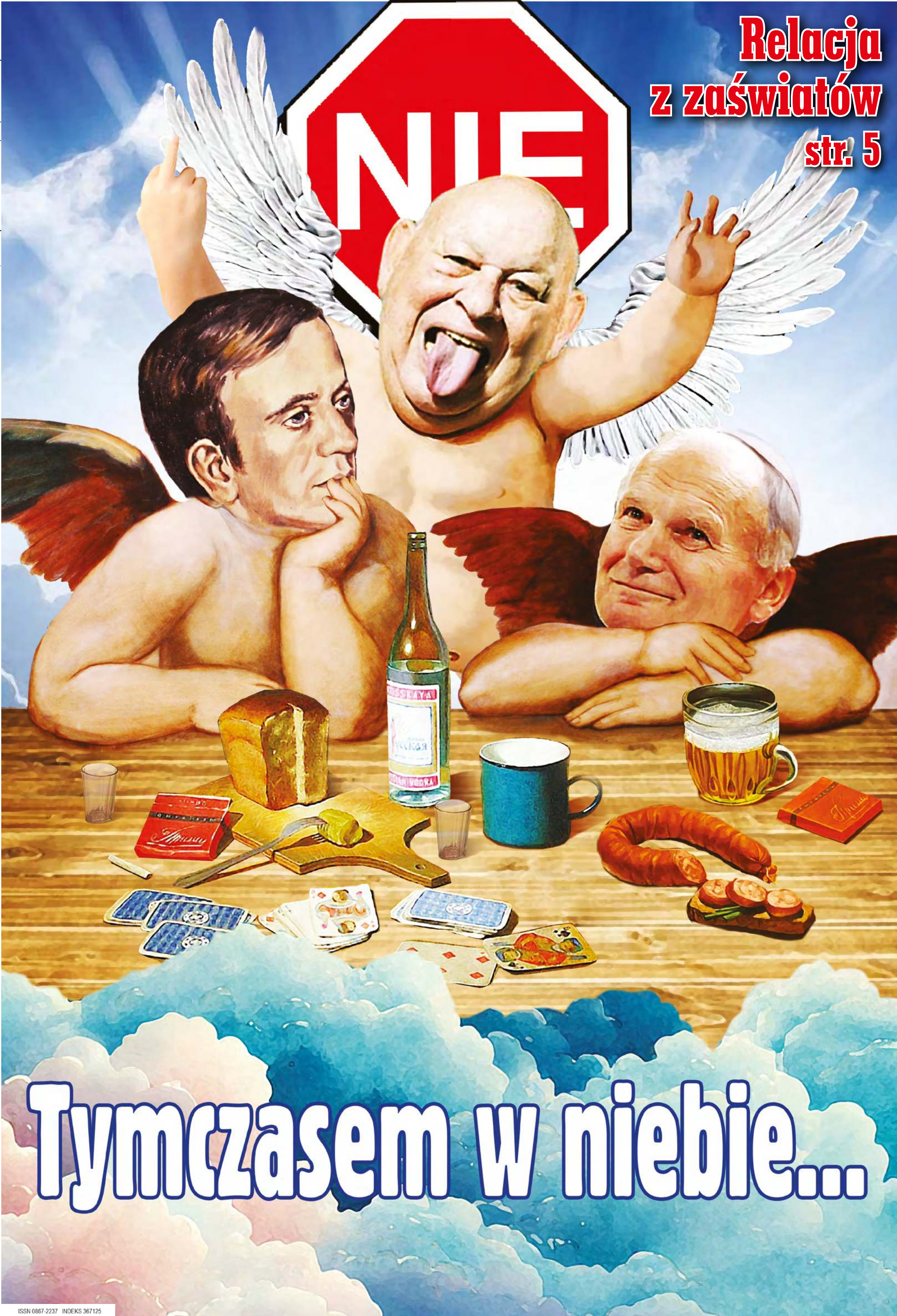


Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

NR 39 (1723) 29 września – 5 października 2023
CENA 6,66 zł w tym 8% VAT

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

**Relacja
z zaświatów**
str. 5



Tymczasem w niebie...



@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

SAŁATKA KAMPANIJNA



♦ Sondaż z końca września: Pollster dla „Super Expressu”, Estymator dla „Do Rzeczy”, United Surveys dla Virtualnej Polski oraz RMF i „Dziennika Gazety Prawnej”, IBRIŚ dla Onetu, Ipsos dla Tok FM i OKO.press. PiS – od 31,6 do 37,3 proc., Platforma Obywatelska – 26,1 do 30,4 proc., Lewica – od 8,5 do 10 proc., Trzecia Droga – od 8 do 9,9 proc., Konfederacja – od 7 do 10,6 proc. Nie bez radości odnotowujemy, że w ostatnim badaniu IPSOS na podium znalazła się Lewica z 10 punktami, a Konfederacja z siedmioma ląduje na piątym, i to niezbyt wysoko nad progiem. Niech spada.

♦ Grany był film Agnieszki Holland „Zielona granica”. Władza filmu nie widziała, ale oczywiście potępia okupacyjną złotą myślą „Tylko świnie siedzą w kinie”, którą przytacza nawet prezydent Duda, choć „na prawach cytatu” z funkcjonariuszy straży granicznej. Doktor prawa Duda najwyraźniej nie wie, co to jest prawo cytatu (możliwość wykorzystania fragmentu cudzego dzieła bez naruszenia praw autorskich twórcy). Tysiące zwolenników opozycji publikują na X i FB pogodne prosiaczki, a nas interesuje co innego. Czy „hańbienie dobrego imienia” SG w filmie następuje w tym momencie, w którym pogranicznik w ramach push backu przerzuca ciężarą kobietę przez drut kolczasty na stronę białoruską, czy wtędy, kiedy ten sam pogranicznik udaje, że nie widzi grupki uchodźców, i przepuszcza przez punkt kontrolny wiozącą ich ciężarówkę? W końcu to pierwsze było zgodne z rozkazami o „ochronie polskiej granicy”, a drugie wręcz przeciwnie.

♦ Na okoliczność „Zielonej granicy” Zbigniew Ziobro po raz kolejny odczuł boleśnie niedokończenie „reformy sądownictwa”. Minister sprawiedliwości ogłosił – korzystając z tego samego rezerwuaru skojarzeń, z którego pochodzą świnie-kinomani – że „w III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy pokazujące Polaków jako bandytów i morderców; dziś mają od tego Agnieszkę Holland” – i dostał sądowy zakaz wypowiedziania się „na temat Agnieszki Holland lub jej twórczości filmowej w związku z filmem pod tytułem »Zielona granica«, w których następowałyby nawiązania, zestawienia lub porównania Agnieszki Holland, jej twórczości lub działalności ze zbrodniczymi reżimami autorytarnymi, znanymi z historii lub współczesnymi”. Czy to znaczy, że Ziobrze nie wolno porównywać Holland do PiS-u?

♦ Donald Tusk w Otwocku: „Polki i Polacy są naprawdę równi i zasługują na ten sam respekt, niezależnie od tego, gdzie żyją, co robią i nawet na kogo głosują”. Mateusz Morawiecki w Kraśniku: „Musimy odbudować godność rynku pracy, ludzi pracy”. Zauważyliście, że obie prawice mówią dziś czysto lewicowym językiem? Lewica musi podbić stawkę. Od dawna przekonujemy towarzyszy, że prawicowemu populizmowi można przeciwstawić tylko nasz słuszny lewicowy populizm, i z radością odnotowujemy, że zaczynają chwytac. Adrian Zandberg w Sieradzu: „Wielu polityków w Polsce ma nieruchomości inwestycyjne, i to może być powód, dla którego nie rozwiązaliśmy problemu mieszkaniowego: bo jeżeli ktoś ma dziesiątki milionów złotych w mieszkaniach, to jemu ten patologiczny system się opłaca. Trzeba złamać potęgę tych, którzy na nim zarabiają wielkie pieniądze, trzeba skończyć z ekstrazyskami ludzi, którzy mają nieruchomości za kilkadziesiąt milionów złotych, bo to jest żadna korzyść dla polskiej gospodarki”.

♦ A skoro już jesteśmy przy lewicy: naszą nową faworytką zostaje Emilia Skibińska, kandydatka Lewicy w okręgu nr 10 (Piotrków Trybunalski), miejsce numer pięć. Emilia ma niebieskie włosy, 22 lata, indeks Uniwersytetu Łódzkiego, a w ramach kampanii rozdaje prezerwatywy w czerwonych papierkach ozdobione wesołymi mordkami i hasłem: „Nie pękaj, zgłoszuj!”. Jeśli ktoś natomiast upiera się głosować na Konfederację, serdecznie polecamy Zanetę Nochowicz (ósme miejsce w okręgu nr 11 – Sieradz). Kandydatka ma wiele oryginalnych myśli, ale szczególnie przypadła nam do gustu ta, że Ziemia jest płaska, czego dowodziły „stare mapy, które »przypadkiem« zniknęły po założeniu NASA”. Dotychczas w polskim sejmie bywały oszołomy różnej maści, ale płaskoziemców brakowało. Naprawdę ten błąd.

♦ W TVN24 odbyła się debata na tematy kobiece z udziałem kandydatek-samiczek. Doszło do zwarecia między Ewą Zajączkowską-Hernik z Konfederacji i Aleksandrą Gajewską z PO. „Tak się rozmawia z blondynką” – rzuciła pod adresem blond Barbie z Platformy Barbie brunetka z Konfy, zapytana – uczciwie trzeba przyznać, po raz czwarty – czy utożsamia się z poglądami Korwina na rolę kobiet. Określenie posłanki Gajewskiej mianem blondynki śmiertelnie oburzyło też drugą blondynkę w studiu, prowadzącą debatę Monikę Olejnik, która kategorycznie zażądała przeprosin – i je otrzymała, co nieco zabrało wiatr z żagli jej słusznego uniesienia. Posłankom sił postępowych sugerujemy wynaleźć w programie Konfederacji inne haki, bo wszystkie pytały Zajączkowską-Hernik o to samo, a przecież debilizmów – jak choćby „weterynaryzacja służby zdrowia” – partia ta głosi znacznie więcej. I to – w odróżnieniu od seksistowskich bzdetów Korwina – serio.

Z URNY URBANA

3 października mija rok od odejścia Jerzego Urbana. Przypominamy jego felieton z czerwca 1998 r., w którym pisze przede wszystkim o sobie.

Czarownice na stosie atomowym



Ktoś bardzo religijny, jak wszyscy czytelnicy „Naszego Dziennika”, w swym drukowanym tam liście wyraził przypuszczenie, że Bóg dlatego utrzymuje przy życiu swego osobistego wroga Urbana, aby mu dać czas na nawrócenie się. Trudno mi odnieść się do takiej hipotezy, gdyż nie jestem rzecznikiem Boga katolików, urząd ten pełni pan Wojtyła. Ja byłem rzecznikiem generała Jaruzelskiego, osobistości, która w porównaniu z Bogiem prowadziła politykę o wiele bardziej przejrzystą i obliczalną.

Wyznawców Boga zirytowanych Jego tolerancją czy też lenistwem, które pozwala mi egzystować – spieszę pocieszyć. Co prawda jako twór biologiczny prosperuję wciąż znakomicie (mam na to świadectwa lekarskie), jednak jako człowiek, a więc zwierzę społeczne (mam na to świadectwa marksisowskie), już jestem trupem. Przed kilkunastu laty otaczająca nas cywilizacja zaczęła ze mną zrywać. Zostałem z niej wyeliminowany. Stopniowo emigrowałem ze współczesności i wciąż uciekam do tyłu. Aby dowieść, że już leżę w trumnie, opiszę jej kształt i wymiary.

Poza boską tymczasową zgodą na egzystencję z innymi ludźmi łączy mnie ponad dwadzieścia przedmiotów, poprzez które się mówię. Mam je rozlokowane po kiesze-

niach i samochodach, przy łóżku i w biurze. Niektóre uwiązane są na drucie. Innych drut z niczym nie spaja, a jednak rozmowa biegnie poprzez drut łączący z siecią nie sam przedmiot, lecz tylko jego stojak. Inne urządzenia, przez które mówię i słucham, obywają się w ogóle bez drucianej sieci. Są wśród nich takie, przez które mógłbym mówić np. z Ameryki, gdybym ich użyć potrafił. Są też skrzynki, przez które podobno mógłbym mówić z kilkoma osobami naraz, zdolne też do rozmaitego przerzucania rozmów. Wszystkie te przedmioty potrafią podobno rejestrować monologi nieodebrane, same osiągać moich nieprzymiujących rozmowy interlokutorów i przekazywać im, co chciałem powiedzieć. Zresztą nawet nie znam wielu sztuk, które te przedmioty potrafią robić.

W czasach, kiedy telefon zawsze był skrzynką połączoną drutem ze ścianą i zaopatrzoną w słuchawkę na uwięzi, pudełkiem z tarczą, którą się kręciło – posługiwałem się telefonem z równą łatwością co szczotką do zębów czy widelcem. Dziś każdy z ponad dwudziestu przedmiotów ma odrębne wymagania. Tu trzeba wpięć naciśnięcie przycisk z obrazem słuchawki, a w innym nacisnąć go trzeba na koniec. Któryś wymaga naciśnięcia dwóch dwójek, inny czterech czwórek – taki kod. Tak samo nie do zapamiętania są różnorodne reguły odbierania rozmów. Postęp zniweczył więc moją umiejętność odbywania rozmów przez telefon, ale nie tylko.

Przez kilkadziesiąt lat pisałem wyłącznie na maszynie, wszędzie ciągnąc ze sobą ten ciężar. Po nastaniu maszyn elektrycznych ich obsługiwanie przestało mnie, zacząłem więc pisać ręcznie. Komputera w ogóle nigdy nie dotknąłem ręką. Nie wiem, co to takiego internet. Zobaczywszy książkę „Windows”, dziwiłem się, że historia okien taka jest gruba. Na razie umiem się jeszcze posługiwać moim autem, ale nie znam przeznaczenia połowy klawiszy w nim umieszczonych ani wiążących się z nimi możliwości. Cóż mi z kont wypełnionych foras, skoro nie potrafię użyć bankomatu. Nie umiem wyjechać z podziemnego parkingu, jeżeli strzegą go i dokonują inkasa elektroniczne

**TRYBUNA
LUDZI**

**Napiszcie, proszę,
jedną pozytywną
rzecz o prezesie
Kaczyńskim.**

Facebook

Krzysiek Łukomski: Będzie z nami już coraz krócej.

Morgan Sobczyk: Jak był mały, to grał w fajnym filmie.

Patryk Dąbrowski: Pięknie mlaszcze.

Kamil Pióro: Codziennie ma ze sobą sztuczny śnieg.

Krzysztof Szymanski: Ma fajnego kota.

Łukasz Maćkowiak: Śpi, do której chce, jak wolny człowiek.

Taki Michau: Jest w lepszej kondycji niż drugi brat bliźniak.

Michał Zółwicz Kazubek: Dzięki jego decyzjom w Polsce wzrosła świadomość zjawiska zwanego inflacją.

Hubert Andrych: To ciepły człowiek.

Łukasz Kędziarski: Zawsze ładnie i stylowo się ubiera. Ubrania idealnie dopasowane, buty czyste i wypolerowane i zazwyczaj do pary.

Paweł Piechocki: Pięknie śpiewa, szczególnie hymn.

Mateusz Orłowski: Dzięki niemu mamy „Przegląd Jarka Niezdarka”!

Grzegorz Gronostaj: Miał pozytywny wynik na covid. Liczy się?

Julita Monika Pazik: Nie rozmnożył się.

Forum

BGG: Dawno nie był w Dąbrowie Górniczej.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

**KABARET?
NIE! AUDYCJE
KOMITETÓW
WYBORCZYCH!**

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WIATER

Gdyby nie lewe praktyki państwa PiS, emeryt nie potrzebowałby łaski dodatkowych emerytur.

Każdego dnia TVP wkleja w głowy emerytowanych miłośników PiS, jak to mają dzięki dzisiejszej władzy dobrze. Nie dość, że wraz z inflacją waloryzuje się ich emerytury, to jeszcze mogą liczyć na szmalec z trzynastek i czternastek. A wszystko to dlatego, że mafie watowskie zaczęły płacić pieniądze i ustalił import nieopodatkowanego paliwa, które za Tuska stanowiło większość tego, co sprzedawano na stacjach tankowania. Jak pogadacie ze zwolennikami Kaczyńskiego, to okaże się, że wciskane od lat bajki stały się dla nich więcej niż pewnikiem.

Świadczenie samosfinansowane

Zacznijmy od wielkiej łaski, którą władza czyni emerytom. Przeciętna emerytura dziś to prawie 3500 zł brutto. Na rękę daje to trochę więcej niż 2900 zł. Dwa lata temu, gdy inflacja zaczynała piąć się w górę, było to 2545 zł do łapy.

Przez ten czas inflacja zżarła jedną trzecią wartości ówczesnych emerytur. Ich dzisiejsza wartość jednak nie jest o tę trzecią część większa. Brakuje ładnych kilku procent. Czyli PiS nie zwaloryzowało emerytur do wysokości inflacji.

Celowo.

Gdyby zwaloryzowano ludziom świadczenia w 100 proc., to naród emerycki uznałby, że tak należało zrobić, i to bez łaski. To jednak partii Kaczyńskiego byłoby nie na rękę, bo jej poparcie bierze się z tego, że ludzie wierzą, że od władzy coś dostają.

To stąd prezent od rządu: trzynaste i czternaste emerytury dające starszym ludziom łącznie ok. 3450 zł na rękę.

Specjaliści od rachunków przeszacowali kwoty i wyszło coś zdumiewającego. W następnym emeryturach polscy seniorzy dostali tyle, ile brakło im do stuprocentowej waloryzacji inflacyjnej. I to na dodatek bardzo nierówno. Dostający wyższe od średnich świadczenia na całość dodatkowych emerytur się nie łapali, a ci z jeszcze wyższymi nawet wcale.

Prymitywny, żeby nie powiedzieć: chamski, zabieg, okazał się skuteczny. Miliony uwierzyły, że władza sama z siebie znów zrobiła im prezent. Nikt nie dostrzegł, że po prostu oddała im pieniądze, które wcześniej zachachnęła.

Raz prądem, raz gazem wyborczą zarazę

Myki z tanim paliwem w tygodniach poprzedzających wybory, nazywane cudem nad dystrybutorem, pokazują, że państwowe spółki ener-

Dobroczyńcy i złodzieje



RYŁ: TOMASZ WOŁOSZYN

getyczne służą władzy do prowadzenia polityki. Olej napędowy i benzyna powinny mocno zdrożeć, bo złotówka dostała ostatnio w tyłek, a ceny ropy na giełdach skoczyły o kilkanaście procent. Ale nie po to Obajtek od lat utrzymywał na produkty Orlenu kilkakrotnie wyższe marże, niż były za rządów PO-PSL, i łupił Polaków, żeby teraz łaskawie na chwilę łupić nieco mniej i pozwolić swoim mocodawcom wygrać wybory.

Zwłaszcza że reszta państwowej energetyki goli nas – czyli i emerytów – do kości. Sierpień Polska zamknęła z najwyższymi w Europie cenami energii elektrycznej na rynku giełdowym. W wakacje jedna megawatogodzina energii elektrycznej kosztowała 342 zł w Niemczech i 551 zł w Polsce. Nigdy w historii różnica tych cen nie była aż tak niekorzystna dla Polski. Od miesiąca energia elektryczna w bieżących dostawach jest w Polsce najdroższa w Europie.

A to dlatego, że reszta Europy produkuje energię elektryczną po niższych kosztach niż Polska. Wszędzie poza Polską węgiel taniej. Cena takiego jak w polskich kopalniach węgla na giełdzie holenderskiej to 396 zł/t. W tym czasie nasze czarne złoto osiągnęło najwyższy poziom w historii – niemal 739 zł/t. Koszt wytworzenia prądu z polskiego węgla jest więc dziś o ok. 150 zł/MWh wyższy niż z węgla impor-

owanego z Afryki czy Ameryki Południowej i przekracza nawet 330 zł/MWh.

Taniej byłoby dziś produkować energię elektryczną w Polsce z gazu sprowadzanego z Ameryki Północnej lub węgla kamiennego z Ameryki Południowej bądź Afryki – wożonych po 10 000 km – niż z polskiego węgla transportowanego 50 km z kopalni na Śląsku do elektrowni na Śląsku.

Ceny węgla na świecie lecą na pysk. Urobek polskich kopalni, zamiast się sprzedawać, ląduje na hałdach, a w umiłowanym przez PiS polskim górnictwie w I półroczu koszty były o 40 proc. wyższe niż przed rokiem. Wynagrodzenia wzrosły w tym czasie o 36 proc. i stanowiły w tych kosztach największy udział. Dzieje się to w sytuacji, gdy państwowa energetyka stara się nie wpuszczać do sieci zbyt wiele prądu wytworzonego przez fotowoltaikę i wiatraki. Priorytet mają elektrownie węglowe.

Węgiel nie służy tylko elektrowniom. We wrześniu, gdy wielu Polaków zaopatruje się w opał na zimę, Polska Grupa Górnicza podniosła ceny surowca. Średnia podwyżka wyniosła 100 zł za tonę. Obecnie więc stawki w internetowym sklepie PGG wahają się od 1125 zł za tonę miału do 1750 zł za taką samą ilość ekogroszku. Dzieje się to w sytuacji, gdy na giełdach węgla spadające ceny zaczynają się zbliżać do 100 dolarów za tonę.

Inny nośnik energii – gaz ziemny – w kontraktach na październik kosztuje 34,67 euro za MWh. Jakkolwiek byśmy liczyli, nie daje to tego, czego żąda od Polaków orlenowski PGNiG. On zaś wina sobie od ludzi po 200,17 zł/MWh, twierdząc, że do odbiorców indywidualnych dopłaca. Co w takim razie myśleć o fakcie, że firmy kupujące gaz od państwa PiS płacą za jedną megawatogodzinę ponad 500 zł?

Co emeryta, z którego państwo zdziera po odczytach liczników, obchodzi prąd czy gaz dla firm? Obchodzi o to, że dzięki temu senior więcej płaci za wszystko, co kupuje. Przecież nawet głupie lodówki i zamrażarki w sklepach nabijają ceny jajek, mięsa czy jogurtów.

Skąd my to mamy?

Miliardy z karuzel watowskich czy z nieopodatkowanego paliwa, dzięki którym państwo dokłada seniorom emerytury, to kit. Firmy, które kiedyś sprzedawały coś bez podatku, dawno padały, bo bez oszustwa podatkowego na rynku nie dałyby sobie rady. Oszustwa z wyłudzeniem VAT skończyły się w pierwszych latach rządów PiS. Zresztą one nigdy nie dawały przyrostu wartości tego podatku, a wręcz przeciwnie. W zeszłym roku wartość niezapłaconego w Polsce VAT-u wciąż szacowano na ponad 11 mld zł, a na dodatek okazało się, że przez rok tzw. luka watowska urosła o ponad 3 mld zł.

Jest jeszcze rządowa narracja o tym, że w latach 2008–2015 wpływy z podatku VAT wzrosły zaledwie o 27,8 proc. Odkąd rządzi PiS, to w ciągu siedmiu lat wzrost wpływów z VAT skoczył ze 123 mld zł do 230,5 mld zł. No bo faktycznie skoczył.

Jednak biorąc pod uwagę poszczególne wzrosty PKB w tym czasie i dokładając do tego inflację, wydaję, że z uszczelnienia systemu na mityczne transfery socjalne wygospodarowałyby się zaledwie kilka miliardów złotych rocznie. Tych pieniędzy nie starczyłoby nawet na połowę 500+.

To może na transfery emeryckie znajdzie się choć kasa, która płynie teraz do Orlenu, bo skończył się nielegalny import paliw? Taki, który powodował, że lewe paliwo za Tuska można było kupić częściej niż to opodatkowane? Też nie bardzo. Bo po pierwsze lewego paliwa jest u nas wciąż ok. 5 proc. Po drugie zaś oficjalna sprzedaż benzyny, gazu LPG i oleju napędowego jest po ośmiu latach rządów PiS wyższa o 10 proc. I to wcale nie dlatego, że zamiast od przemysłników kupuje się teraz od Orlenu, ale dlatego że o tyle wzrosł po prostu w tym czasie popyt na paliwo.

Geniusz PiS nie polega więc na tym, że partia wynalazła sposób na uczynienie Polaków bogatszymi, ale na fakcie, że okradając ludzi, udało im się wmówić, że Kaczyński rozdaje prezenty.

TADEUSZ JASIŃSKI

Dzisiaj w numerze na stronach od 5 do 9 URBANISTYKA – wspomnienia o Jerzym Urbanie w rocznicę Jego śmierci.

Za tydzień w „NIE”

• Fragment biografii „Urban” Doroty Karaś i Marka Sterlingowa pt. „Urban z popiołów” o powstaniu tygodnika „NIE” i... Adamie Michniku.

• Historia, która nie znalazła się w książkowej biografii Urbana, a która elektryzuje Gdańsk – czy Urban miał za co przepraszać?

WIEŚCI GMINNE i INNE

■ Staliśmy się bardzo atrakcyjnym krajem dla sąsiadów zza zachodniej i południowej granicy. Niestety, turyści nie są zainteresowani naszą kulturą, dorobkiem materialnym oraz historią. Tych prostaków przyciągają jedynie stacje benzynowe. W Niemczech benzyna kosztuje 1,90 euro (8,84 zł), a w Polsce spada do 6 zł. Przy tankowaniu pełnego baku Niemiec oszczędza 30 euro, czyli 140 zł. Uroda naszych stacji paliw opatrzy się Niemcom po 15 października – utrzymują poważni analitycy biznesowi.

■ 15 sierpnia, w trakcie defilady z okazji Dnia Wojska Polskiego, przelatujące nad Warszawą myśliwce FA-50 z szachownicami na skrzydłach, których obywatel Błaszczak nakupił w Korei za 13 mld zł, pilotowane były przez koreańskich pilotów, ponieważ nie wyszkolono jeszcze polskich, którzy mogliby robić to bezpiecznie. Upadł zatem odwieczny mit polskiego pilota, który potrafi latać nawet na drzewach od stodoły. Nie potrafi.

■ Policja znowu handlowała narkotykami. Tym razem w Poznaniu policjanci aresztowali swojego kolegę za posiadanie znacznej ilości narkotyków oraz sprzedaż środków odurzających. A przecież Karolina Czarnecka śpie-

wała całej Polsce ongiś: „LSD, hera, koka i hasz, podzielił się z kolegami, czym masz”. Trzeba było się dzielić.

■ W Opolu urodzili się dwa syberyjskie tygrysy. Wprawdzie w zoo, ale nie przeszkadzało to prezydentowi miasta Arkadiuszowi Wiśniewskiemu stwierdzić, że ma kolejne potwierdzenie, że rządzone przez niego Opole to najlepsze miejsce do życia we wszechświecie. We wszechświecie żyje 200 tygrysów syberyjskich. Połowa w wozieniach zwanych ogrodami, a połowa w rosyjskiej tajdze, co na jedno wychodzi.

■ Kolejny cios otrzymała nasza gospodarka w rezultacie wojny w Ukrainie. Rosyjska rakietka uderzyła w fabrykę nowosądeckiej firmy Fakro we Lwowie, produkującej bardzo dobre okna dachowe. Prezes Fakro Ryszard Florek twierdzi, że w magazynie było 2 tys. okien po 1000 zł sztuka, a jeśli doliczyć do tego hałę, straty wynoszą 10 mln zł. Florek jednak jest dobrej myśli, ponieważ – jak stwierdził – na miejscu tragedii okien pojawił się już polski biskup Kawa. Florek i Kawa?! Rany Julek!

■ Wodorowa lokomotywa zbudowana przez bydgoską Pesę za pieniądze Orlenu zadebiutowała, ciągnąc wagoniki na trasie Gdynia–Hel. To pierwszy taki pociąg w Polsce, który emituje do środowiska tylko parę wodną. Jest to oczywiście wielki sukces polskiej inżynierii, jednak katastrofa finansowa. Eksploatacja jednostek wodorowych jeżdżących po szynach kosztuje o 80 proc. więcej niż tradycyjnych diesli. Nie udało się jeszcze opracować taniej i bezpiecznej metody pozyskiwania wodoru z tak zwanych odnawialnych źródeł energii.



RYŁ: WIDGIET

■ Dobrze poszło także studentom z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, którzy wygrali światowy konkurs łazików marsjańskich „European Rover Challenge 2023” w Kielcach. Studencki łazik Kalman okazał się lepszy niż konkurencyjne pojazdy ze Szwajcarii, Niemiec, Włoch, Wielkiej Brytanii, Turcji i Bangladeszu. Biorąc pod uwagę doświadczenia z produkcją elektrycznej lźery, pod której fabrykę po siedmiu latach jest już kupiona łąka, to gdyby teraz podjąć decyzję o masowej produkcji takich kalmanów, kiedy ludzkość przesiedli się na Marsa, będzie akurat.

■ Sanocka Spółdzielnia Mieszkaniowa, w Sanoku oczywiście, otrzymała wniosek podpisany przez 218 mieszkańców w sprawie usunięcia rzeźb z placów przed blokami, które stoją tam od 37 lat. „Rzeźby te obrażają nasze uczucia moralne. Szpecą i straszą swoją brzydotą i wynaturzeniem ludzkiego ciała. Są obsceniczne” – wynika z wniosku. Zamiast rzeźb autorstwa studentów

Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, którzy przez ten czas zapili się zapewne na śmierć, w Sanoku chcą figury Maryi, która nie będzie obrażała tamtejszych „uczuć moralnych”.

■ Na 1500 zł grzywny i zwrot opłat sądowych w wysokości 400 zł skazał Marcina M. Sąd Rejonowy w Bolesławcu za to, że „otworzył szybę swego pojazdu i wystawił lewą rękę, pokazując znieważający gest w postaci wyprostowanego środkowego palca”. Widząca ów gest pani Magda poczuła się dotknięta. Skierowała sprawę w trybie oskarżenia prywatnego do wymiaru sprawiedliwości. Sprawiedliwość została wymierzona, a poczucie dotknięcia u skarżącej ustąpiło.

■ Dochody budżetu państwa od 2015 r. wzrosły z 289 mld zł do 604 mld zł, czyli ponad dwa razy, podczas gdy dochody Warszawy z 14,3 mld zł do 20,2 mld zł, to jest o 40 proc. Warszawa otrzymuje najmniej wsparcia rządowego spośród wszystkich miast na prawach powiatu – twierdzi prezydent stolicy Rafał Trzaskowski.

■ Rada Miasta Zakopanego jednogłośnie wyraziła stanowisko popierające starania rządu ws. uzyskania reparacji wojennych od Niemiec. Yhm?! Ta jednogłośność jest nieco osobiwa. Trudno jakoś nie pamiętać o sprawie Goralenvolku i niejakiego Wacława Krzeptowskiego, którego w końcu trzeba było powiesić.

RJ

Informacje czerpiemy z mediów lokalnych, w których prawda obiektywna nie stoi na pierwszych pozycjach dziennikarskiego kodeksu honorowego. Mogą zatem różnić się nieco z rzeczywistością, za co odpowiedzialności cywilnej ani karnej oczywiście ponosić nie możemy.

Normalnie jest nienormalnie

Tak źle i tak niedobrze.

Domy

Mój sąsiad ma cztery mieszkania, podobnie zresztą jak 20 proc. warszawiaków, którzy mają więcej niż jedno. I to jest bardzo nieszczęśliwy człowiek. Mieszkania teoretycznie stoją puste. Praktycznie wynajmuje je bezumownie nie wiadomo komu, aby podatków nie płacić, zatem żyje w strachu, że w końcu skarbówka się do niego przyjiebie.

Gdy jest w swoim mieszkaniu, to się zastanawia, czy tego drugiego nie zalewa mu sąsiad, a tego trzeciego nie trawi właśnie pożar. No to jedzie do tego drugiego, aby dojść do wniosku, że to czwarte może być okradane. Życie więc spędza na podróżowaniu i doglądaniu swojego dobytku. Nie może zatem pracować, gdyż niańczenie mieszkań zajmuje mu tyle czasu, że na hobby nie ma czasu. Pieniądze ma, jak wspominałem, z czynszów. Gdy patrzę na bezdomnego na ławce, to też myślę, że nie jest mu dobrze. Dlatego gratuluję samemu sobie. Brawo ja! Nie mieć gdzie mieszkać – źle. Mieć za dużo gdzie mieszkać, też źle. Ale mieć w ogóle gdzie mieszkać – dobrze! Nic więcej mi nie trzeba, aby zajmować się tym, co naprawdę lubię.

Samochody

Mój inny znajomy, zasadniczo lekarz, ma pięć samochodów (dwa zabytki). Zawsze ma czym jeździć, ale uchodzi to jego ułudzie. On widzi, że notorycznie w którymś z aut jest coś nie tak. Jednemu kończy się ubezpieczenie, innemu – badanie techniczne. W tym popsuł się rozrusznik, a w innym klima nie działa, a jeszcze to, którym jeździ żona, za dużo spala. Podejrzewam, że jest on tak nieszczęśliwy z powodu swojej motoryzacyjnej zamożności, że tylko markuje leczenie ludzi. Jak można postawić komuś właściwą diagnozę, kiedy zapaliła się lampka „check engine”? Są rzeczy ważne i ważniejsze. Może śmiertelny nowotwór to coś istotnego, ale przecież nie da się tego porównać ze zbliżającym się zawałem w silniku twojego pojazdu. Z prostej przyczyny. Rak jest cudzy, a zawał jest twój.

Nie jest również dobrze nie mieć w ogóle samochodu, o czym się przekonałem ostatnio, kiedy alternator w moim subaru odmówił produkcji prądu. Pojechałem do serwisu, w którym się okazało, że przez tydzień nie potrafili go naprawić. Osmego dnia poszedłem do nich z mordą. Wtedy się wysypali. Oni tego alternatora nie potrafili zreperować,



ponieważ w pewnym okresie koncern Subaru w swoich samochodach montował alternatory konkurencyjnego Mitsubishi. Musieli więc go wymontować i zawięzić do serwisu wrogiej marki. Ci najwyraźniej, aby zdyskredytować serwis przeciwników, odwołają się do serwisu wrogiej marki. Ci najwyraźniej, aby zdyskredytować serwis przeciwników, odwołają się do serwisu wrogiej marki. Ci najwyraźniej, aby zdyskredytować serwis przeciwników, odwołają się do serwisu wrogiej marki.

Uznałem, że zrzucenie bomby atomowej na Nagasaki było słuszne.

Pomyślałem też sobie, że gdybym musiał wybrać między kastracją a brakiem własnego pojazdu, miałbym poważny dylemat. Wybrałbym obrzezanie lub skuter. Nie mieć samochodu źle, ale mieć ich nadmiar, to też inny rodzaj zła.

Pieniądze

Mam też innego znajomego, który ma tyle pieniędzy, że nie mieszczą mu się na kontach bankowych. Kont ma pięć i on jest kłębkim nerwów.

Codziennie sprawdza na każdym, czy ktoś go nie zdefraudował. Rozumiecie. Trzeba podać kody, pe-sele, loginy, hasła, w każdym z pięciu przypadków inne. Następnie zatwierdzić w aplikacji mobilnej, za każdym razem używając innego telefonu. Potem nie dostać oczopląsu, badając zgodność każdej cyferki w sześciocyfrowej liczbie stanu majątku. Zastanowić się nad przelewami przychodzącymi i wychodzącymi. Zajmuje mu to codziennie dwie stresujące godziny. Potem i tak żyje w niepewności do następnego ranka, czy coś się nie zmieniło.

Nie jest również dobrze nie mieć nic na koncie, czego doświadczyłem kilka lat temu i zrozumiałem, dlaczego ludzie z takiego powodu popełniają samobójstwa. Bogactwo to nieustająca huśtawka emocjonalna między obawą a większą niepewnością, bieda natomiast jest naprawdę przygnębiająca w sposób ciągły.

Podróże

Brat mój wrócił z Grenlandii. Powiedział, że jest tam pięknie. Jasno do upadłego, bo słońce w ogóle nie zachodzi. Tylko że w chuj zimno. Gorzej niż na Marsie, do którego kolonizacji się przygotowujemy, a z powodu tego chłodu nikomu nie przychodzi do głowy kolonizować Grenlandii. Nie był zadowolony z tego zimna.

A moja była żona poleciała do Afryki, gdzie było gorąco jak w piekle, a jej dermatolog, mimo że upłynęły już cztery tygodnie od powrotu, nadal nie może wyleczyć skutków oparzeń. Dała za to sporo pieniędzy. A ja nie byłem nigdzie, pozostając w umiarkowanej klimatycznie Europie, ciesząc się umiarkowaną wilgotnością, zwiewnością i grawitacją oraz równoczą na jesieni i wiosną.

Równowaga

Teraz bardzo ważna wytyczna, która moim zdaniem ma wymiar uniwersalny i przyczynić się może do dobrostanu psychicznego, a co zatem idzie fizycznego i biologicznego każdego mieszkańca Ziemi. Człowiek czuje się dobrze w strefach umiarkowanych!

Przejeść się – źle. Głodować – też niedobrze. Branie przynajmniej trzy razy dziennie doprowadzi cię do choroby. Woda niszczy ochronną warstwę bakteryjną. Ale od permanentnego niemycia też się rozchorujesz. Przecholizm się wykończy, a lenistwo zabije nudą. Będąc uległy, zostaniesz zagryziony, ale z powodu nachalnej asertywności wszyscy cię znienawidzą. Nadmiar seksu doprowadzi do choroby wenerycznej, ale jego brak – do nabytej impotencji i kłopotów z krążeniem.

I tak dalej, i tak dalej... Chciałbym przekonywać do słusznej drogi złotego środka oraz statecznej przeciętności, tyle że już nie mogę, ponieważ w tym niepozostającym w sprzeczności z niczym systemie wykryłem jakiś błąd.

Niezdeterminowanie

Nie mam na kogo głosować! Dobrze by było zgłasować na PiS, bo jeżeli ktoś inny wygra wybory i przekona się, jaki jest prawdziwy stan państwa, to dowiemy się, jak głębokiej jesteśmy dupie i że potrzebne są krew, pot i łzy. Dobrze byłoby zgłoszo-

wać na PO, chociaż to jest taki naprawdę bardziej liberalny odcień kaczynizmu. Jednak nie jest pewne, czy nie będzie musiała kontynuować kaczynowskiej linii z przyczyn czysto obiektywnych. Patrz zdanie poprzednie. Politycy lubią się przechwalać, jak to oni panują nad rzeczywistością. Tymczasem prawda jest zupełnie inna. To rzeczywistość robi z nimi, co chce, a te przechwałki to zwykłe udawanie. Dobrze z przyczyn sentymentalnych, towarzyskich i kulturalnych byłoby oddać głos na jakąś lewicę, ale ona nie ma już twarzy Kwaśniewskiego, Oleksego albo Belki. Teraz z jej plakatów patrz na mnie – olaboga! – Sylwia Spurek, towarzysz Adrian Zandberg interesujący jak zawody łucznicze oraz prof. Magdalena Środa, która wprawdzie nie kandyduje, co i dobrze, bo posiadała niespotykaną jakąś podatność ponoszenia porażki w każdych okolicznościach. Zagłosowałbym może na Konfederację, ale Brauna się boję. Bosak mnie śmieszy. Mentzen wprawdzie jest przystojny, ale i tak za sznurki pociągają tam nadal Korwin-Mikke, do którego licznych zalet doszło jeszcze łagodne starcze szaleństwo. „Kim jest ten dziwny dziadek?” – zapytał syn, widząc Janusza w samych majtkach w sklepie z wiertarkami.

Paraliż woli

Sięgnąłem więc po narzędzie naukowe, termometr, barometr czy jak tam nazwano przyrząd do autodiagnozy preferencji wyborczych. „Puls Biznesu” opublikował taką ankietę, w której odpowiadało się na kilkadziesiąt pytań pokroju: czy autostrady mają być za darmo, a emeryci umierać wcześniej, czy później, czy może tak jak obecnie? Potem maszyna obsługiwana przez sztuczną inteligencję podawała wynik. Porażka!

Zgodnie z tymi aptekarskimi obliczeniami dokonany przez procesor o bystrości dziewięciu gigaherców

zgodność moich poglądów z każdą partią wahała się między 41 a 48 proc. No nie o taki rezultat mi chodziło. Bo wynika, że na kogokolwiek bym zgłosował, będę w podobnym stopniu zadowolony, co niezadowolony, a może na tyle niezadowolony, ile zadowolony.

To nie jest najgorsze. Fatalny wniosek jest taki, że ta moja pochwała przeciętności i taktyka pozostawiania zawsze w centrum koła fortuny poważnie ucierpiała. W konsekwencji bowiem prowadzi do permanentnej ambiwalencji, niezdeterminowania i paraliżu woli. Będąc zawsze pośrodku, nie sposób dokonać wyboru, kiedy dokonać go trzeba.

Zrównoważony harmonijny świat, pozbawiony ekstremizmów, sukcesów i katastrof, w którym chyba większość z nas chciałaby żyć, okazuje się zupełnie niesterowalny, mdły, powszedni, rzecz wypadła: nudny. Nie pozostało mi zatem nic innego jak głosować na lewicę. Z przyzwyczajenia, bo rozsądkiem i matematyką do tego bym nie doszedł.

ROBERT JARUGA

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ Konferencja Episkopatu Polski opublikowała w czwartek „Vademecum wyborcze katolika”. To dokument, w którym biskupi przypominają wierzącym, jakimi zasadami mają się kierować, jeśli chcą głosować zgodnie z etyką katolicką. Czyli nie na zwolenników aborcji i eutanazji. Czyli najlepiej na PiS albo na Konfederację. Heh, Konfederacji to by pewnie biskupi nie chcieli. Chociaż cholera ich wie.

➤ „Teraz widziałem, że jeden kraj występuje z szeregu, że nie daje broni, i zaczyna się proces, w którym męczennikiem będzie na pewno naród ukraiński. I to jest przykre” – powiedział papa Franciszek i polska prawica wzięła to do siebie. Oczywiście, bo to Morawiecki zapowiedział, że już więcej broni Ukraińcom nie damy. O wyjaśnienie przekazu papy dziennikarze poprosili Watykan. Dyrektor biura prasowego Stolicy Apostolskiej Matteo Bruni przekazał mętnie, że wypowiedź ta padła „w kontekście refleksji nad konsekwencjami handlu bronią”. Jeszcze jeden powód, aby Polacy nie kochali Franciszka.

➤ 20 września w parafii pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Anielskiej w Dąbrowie Górniczej grupa księży zorganizowała imprezę z udziałem męskiej prostytutki. Kiedy wynajęty gość stracił przytomność, najpierw wezwali pogotowie, a potem odmówili wypuszczenia do środka ratowników medycznych. Interweniować musiała policja. Wszystko działo się w mieszkaniu w budynku parafialnym księdza Tomasza Z., który nie tylko sprawował

posługę kapłańską, ale był też redaktorem „Niedzieli Sosnowieckiej”, czyli dodatku regionalnego do katolickiego tygodnika „Niedziela”. Ks. Tomasz wśród parafian uchodzi za milego, przystojnego i uduchowionego.

➤ Niestety nie wszyscy tak uważają. Rodzice dzieci z parafii Najświętszej Maryi Panny Anielskiej w Dąbrowie Górniczej, gdzie doszło do wspomnianych wydarzeń, chcą zbojkotować pierwszą komunii swoich pociech, bo przygotowania do niej prowadził właśnie ks. Tomasz.

➤ Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski uważa, że biskup sosnowiecki Grzegorz Kaszak nie chce oczyszczać dotkniętej wieloma głośnymi skandalami obyczajowymi diecezji, którą zarządza, lecz „woli ukrywać pewne sprawy”. Ks. Isakowicz-Zaleski analizował sytuację w diecezji sosnowieckiej po skandalu seksualnym w parafii w Dąbrowie Górniczej w swej rozmowie z Janem Pospieszalskim na kanale Afirmacja TV. Dodał, że dorobkiem Kaszaka w diecezji „jest cała seria przeróżnych skandali, najczęściej obyczajowych na tle homoseksualnym, wobec których ten biskup, mówiąc najdelikatniej, jest spolegliwy i nie podejmuje działań”.

➤ Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski przypomniał również, że watykański protektor bp. Kaszaka, nieżyjący już kardynał kolumbijski Alfonso López Trujillo, był oskarżony o „całą serię skandali gejowskich”, a bp Kaszak był „jego sekretarzem i osobą blisko z nim związaną”.

➤ I jeszcze ks. Isakowicz-Zaleski: „Jeden z ministrantów, którego znam, a który studiował na świeckiej uczelni, wstąpił do jednego z seminariów (władze kościelne dobrze wiedzą, o które seminarium chodzi, bo je o tym informowałem), ale po pół roku wyszedł z niego, bo jak mi



powiedział, jest to jeden wielki klub gejowski. Jeżeli więc istnieją tego typu seminaria, to oznacza, że nie są to jakieś wypadki przy pracy”.

➤ Skandal w Dąbrowie Górniczej skandalem, a 21 września wieczorem ktoś podpalił drzwi zabytkowej bazyliki Najświętszej Maryi Panny Anielskiej w tej miejscowości. Policja zatrzymała 38-letniego pijanego mężczyznę, który jest podejrzany w tej sprawie. „Mówimy tutaj o przestępstwie zagrożonym surową karą pozbawienia wolności. Nie

będzie to zniszczenie i uszkodzenie, będzie to coś znacznie poważniejszego” – skomentował prokurator Waldemar Łubniewski, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Sosnowcu, odnosząc się do podpalenia. A kto ukarze księży, którzy podpalają wrażliwych sumień owieczek?

➤ W pierwszym etapie rekrutacji do krakowskiego seminarium zgłosił się tylko jeden kandydat. Voilà!

KLECHA

Relacja z zaświatów

Urban
nic
nie
powie.

Na początku roku w branżowym piśmie „Nieznany Świat”, zajmującym się, jak tytuł wskazuje, ezoteryką i wszelkiego rodzaju zjawiskami paranormalnymi, pojawił się list od współpracownika redakcji. Redaktor naczelna Anna Ostrzycka-Rymusko uznała go za na tyle wartościowy, że zamieściła na łamach swojej gazety. Pan Jerzy Kałucki, autor listu, zapropo-

nował bowiem, żeby... skontaktować się z Jerzym Urbanem, od kilku już wówczas miesięcy nieżyjącym. Współpracownik „Nieznanego Świata”, choć daleki światopoglądowo od ojca założyciela „NIE”, uznał, iż Urban „na pewny rodzaj docenienia zasłużył”, bo „potrafił przedstawić, w morzu inwektyw i beczelności, jakie często prezentował, prawdę bolesną dla wielu mieniących się etycznymi i praworządny. Nie miał litości dla obłudy i fałszu, jaki prezentowało wielu. Nie cierpiał Kościoła, księży, religii, choć znał jej podstawy, historię i fałszerstwa, co punktował bezlitośnie”.

Autor śmiałego w tezach listu uznał, że niezwykle ciekawa poznawczo będzie próba kontaktu z Urbanem, choć ten w życie po śmierci nie wierzył. A nawet przede wszystkim dlatego. Pisze pan Jerzy (Kałucki, nie Urban): „Jego śmierć to świetna okazja, by sam przekazał nam, co zastał

po przejściu na drugą stronę. Jak zareagował na rzeczywistość, którą tak negował. Myślę, że na przykład pan Krzysztof Jackowski i pan Marek Szwedowski mogliby spróbować nawiązać z nim kontakt. Jestem przekonany, wiedząc, jaki był bezpośredni w swoich osądach, że przekaze prawdę i opisie wrażenia, jakich doznaje tam po drugiej stronie. Pozwól mu na to, bo nie dokonał żadnej fizycznej zbrodni, a ze swojego specyficznego werbalizmu uczynił styl życia, co było pewnie w jego planie. Warto podjąć taką próbę i sprawdzić, bo lepszej okazji do usłyszenia przeprosin z tamtej rzeczywistości nie będzie”.

Nam dwa razy powtarzać nie trzeba. Urban w końcu całe życie był związany z mediami, więc co by mu szkodziło po śmierci poświęcić chwilę medium. Współpracownik „Nieznanego Świata” wskazał konkretne postacie, które mogłyby taki kontakt nawiązać. Uznałem, że nie jest dyletantem w tej dziedzinie i wie, co pisze. Napisałem więc do obu wymienionych przez niego z propozycją przepro-

wadzenia takiej rozmowy na rocznicę śmierci Urbana celem opublikowania jej na tych łamach. Czytelnicy złaknieni są przecież nowych felietonów czy choćby paru świeżych zdań od nieodżałowanego Redaktora.

Asystent pierwszego ze wskazanych mediów, Marka Szwedowskiego, poinformował mnie, że jego szef nie jest zainteresowany kontaktem jako medium z Jerzym Urbanem. Głównie dlatego, że „nie kontaktuje się z ignorantami i złymi ludźmi”. Zawsze myślałem, że złym człowiekiem jest ten, kto korzysta z ignorancji innych i np. wmawia im, że może się skontaktować z ich bliskimi zmarłym, co w przypadku zrozpaczonych wdów i sierot jest wyjątkową podłością, zwłaszcza gdy ma wymiar finansowy. Ale co ja tam wiem. Jedyny werbalny kontakt ze

zmarłymi mam, gdy czytam książkę nieżyjącego autora. A pewnie i kodeks etyczny mam nieco inny niż przedstawiciele branży ezoterycznej.

W każdym razie odmowa była dość stanowcza, widocznie pan medium ideologicznie jest daleki od linii tygodnika „NIE”, a pewnie też musi brać pod uwagę, że takim wyskokiem może zepsuć sobie opinię w śro-

dowisku. Rozmowa z Urbanem mogłaby się odbić szerokim echem, a z tego typu usług korzystają często bogobojne niewiasty i prawi mężowie, którzy – choć Kościół kat. tego surowo wzbrania – i Panu Bogu świeczkę, i medium ogarek. Ubranie się współpracą z „NIE” mogłoby zamknąć wiele dróg.

Poza tym ryzyko wpadki jest dość wysokie. Wyraziłby język Urbana i jego polszczyzna są łatwe do zidentyfikowania, ale trudne do podrobienia. Czytelnicy od razu wyczuliliby, że to żaden Urban, a opowieści o tym, że po śmierci traci się charakterystyczne cechy języka, można między bajki włożyć. Bo w sumie czemu miałby w takim razie w ogóle mówić po polsku, i to ze zdolnościami językowymi medium?

Drugi, bardziej znany kandydat do przeprowadzenia pośmiertnego wywiadu z Urbanem, Krzysztof Jackowski, sprawę olał. Nie odpisał nic. Rozumiemy, ma kupę roboty, w końcu III wojna światowa sama się nie przepowie. Zresztą jako jasnowidz zapewne przewidział niepochlebne reakcje i wołał się nie pakować w taką kabałę.

Pozostaje nam zatem Urban z recyklingu, przywoływany co tydzień na swoje stałe miejsce w tygodniku „NIE”. Jego przewidywania w felietonach były często trafniejsze niż zawodowych jasnowidzów i na pewno lepiej napisane.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Wstydlivy sekret Urbana

Byłam na promocji biografii Urbana. Autorów książki Dorotę Karaś i Marka Sterlingowia odpytywał Mariusz Szczygieł, gospodarz Faktycznego Domu Kultury, w którym odbywało się spotkanie.

Szczygła absolutnie uwielbiał, więc lekko mnie zdziwił cokolwiek tendencyjnym pierwszym pytaniem o to, czy nie było im niezręcznie przejść z Urbanem na ty, co odbyło się z jego inicjatywy. Autorzy wili się lekko, jakby mieli z tyłu głowy, że komitywa z Goebbelsem stanu wojennego to coś, z czego jednak trzeba się tłumaczyć. Było to cokolwiek zaskakujące, bo przecież wiem, zarówno z rozmów z Dorotą i Markiem, jak i z lektury ich książki, że byli z Urbanem zaprzyjaźnieni – na tyle, na ile dało się z nim zaprzyjaźnić. Urbana gatunek ludzki ciekawił, ale generalnie nie był jego fanem i bardzo uprzejmie trzymał ludzi na dystans. Dopiero w trakcie spotkania dotarło do mnie, jak wielkim przekroczeniem osobistej granicy dla dwójki dziennikarzy, którzy spędzili życie zawodowe w „Gazecie Wyborczej”, było uznanie Urbana w ogóle za człowieka, a nie za chodzący symbol komunistycznego zła.

Sterlingow rzucił w pewnym momencie – nie w tonie martyrologicznym, tylko lekkiego samousprawiedliwienia – że w 1985 r. Urban mówił, że nikogo nie pobili i nie zamknęli, a on akurat był wtedy pobity i zamknięty, więc osobiście zaznał „kłamstwa Urbana”. To może zostawić w człowieku pewne uprzedzenie. Fakt, że ten sam Urban zaprosił ich do domu, zaproponował nocleg w krytym strzechą domku gościnnym (mniej więcej 300-metrowym) i bez oporu odpowiadał na każde pytanie, musiał wprowadzić tę parę solidariuszów w stan pewnego dysonansu wewnętrznego. Tym bardziej zaś fakt, iż – wbrew ciągnącej się za nim sławie „cynicznego kłamcy” – Urban na swój temat nie kłamał, co Karaś powiedziała z ciągle dużym zadziwieniem. To zresztą chyba nie do końca prawda – Urban miał pewną tendencję do mijania się z prawdą w swojej sprawie: konsekwentnie przedstawiał się w gorszym świetle, niż wskazywałyby fakty. Wynikało to po trochu z kokieterii, ale przede wszystkim, jak sądzę, było elementem budowania wizerunku. Urban, mam wrażenie, uważał swoje dobre maniery za słabość i starannie je ukrywał przed opinią publiczną.



RYS. TOMASZ WOŁOSZYN

Szczygieł, z właściwym sobie wdziękiem, opowiedział z kolei, jak w latach 90. umówił się z naczelnym „NIE” na wywiad, ale musiał odwołać spotkanie z powodu rozstroju żołądka. Dwa dni później do redakcji „Gazety Wyborczej” przyszedł adresowany do Szczygła list, napisany piórem na perfumowanym różowym papierze. Urban życzył mu szybko i powrotu do zdrowia i polecał nowe lekarstwo, którego sam zażywał na problemy z żołądkiem. Szczygieł jest zbyt bystry, żeby nie wiedzieć, że była w tym bardzo cienka drwina, a nie szczerza chęć pomocy – ale dla mniej błyskotliwego adresata list mógł być rzeczywiście ujmujący. Kiedy dziennikarz uporał się w końcu ze swoją gastryką i na wywiad dotarł, Urban był diabelsko przemiły, a Szczygieł kupiony do tego stopnia, że „chciał się do niego przytulić”, choć „nie był w jego typie”. Kiedy lekko oszołomiony wrócił do redakcji „GW”, jego szefowa Małgorzata Szejnert, która w latach 70. współpracowała z Urbanem w „Polityce”, zapytała (zapewne z przekąsem, choć tego Szczygieł nie powiedział): „I co, uroczy?”.

Mam w tej sprawie dwie refleksje.

Pierwsza jest taka, że ani wielbiciel Urbana, ani jego wrogowie nie odnotowują jego najbardziej oryginalnego życiowego sukcesu: doskonale skutecznej autokreacji. Ten nienagannie wychowany, chorobliwie prawdomówny i dość nieśmiały intelektualista, trzymający się na uboczu na olbrzymich bankietach, za które płacił, i najchętniej spędzający czas na czytaniu, wmówił całej Polsce, że jest a) beczelnym cynicznym kłamcą i twardogłowym komunistą ze skłonnością do okrucieństwa; b) rozpasanym sybarytą, którego ulubionym zajęciem jest polewanie pijanych dziwek szampanem podczas orgii w jego prywatnym basenie.

Aleście się dali nabrać.

I druga: że – nie wiem, czy to dobrze, czy źle – jestem jedną z niewielu osób, które nigdy nie przeżyły „Urbanowego szoku”. Owszem, w stanie wojennym jak każde dziecko na Żoliborzu wiedziałam, że „tę świnię z uszami” dosięgnie kiedyś sprawiedliwość, ale w tzw. nowej Polsce dość szybko przeorganizowałam moją opinię o PRL i – w ramach tego – o Urbanie. To też kiedy dzięki przyjaciółom – pracującym wówczas w „NIE” Golimontowi, a później Ikonowiczom – poznałam Urbana osobiście, nie byłam w najmniejszym stopniu zaskoczona faktem, że nie ma kopyt i ogona. Rozumiem jednak, że dla wielu widzów jego konferencji z lat 80. mogło to być prawdziwym szokiem.

W zasadzie nie wiem, czym im współczuć, czy zazdrościć. Zaskoczenia są dobre dla duszy. Leczą nas ze skąpstwa poznawczego, które prowadzi do uwiadu rozum. Czasem jednak też dewastują nam obraz świata w sposób szalenie bolesny.

Gdybym na przykład poznała dziś osobiście Andrzeja Dudę i odkryła, że jest inteligentnym człowiekiem o błyskotliwym prawniczym umyśle, czułabym się zapewne nieco niekomfortowo.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

MÓZDZEK TYGODNIA

Audycja telewizyjna „Śniadanie Rymanowskiego” w Polsat News, niedziela rano. Wśród politycznych gości pisowski wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Błażej Poboży. Wśród tematów film Agnieszki Holland „Zielona granica”.

Poboży – jak większość jego partyjnych kamratów – przyznaje, że filmu nie oglądał, ale nie musi oglądać, żeby go skrytykować, bo nie trzeba czytać „Mein Kampf”, żeby wiedzieć, że to zła książka.

Idąc tym samym tropem: Nie trzeba znać wiceministra Pobożego, żeby wiedzieć, jak wygląda chuj.



ILUSTR. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rocznica śmierci Urbana

A jednak śledzie!

Przy stole z Urbanem i prawie Martą Kaczyńską

Tuż przed wyborami parlamentarnymi, po których po raz pierwszy PiS zdobył władzę – we wrześniu 2005 r. – gdańskie SLD zwróciło się do mnie jako do pośrednika, abym zaprosił Jerzego Urbana na spotkanie do Gdańska. Urban się zgodził, ale postawił warunki. Przede wszystkim nie ma to być w żadnej mierze spotkanie wyborcze, ale otwarte dla publiczności, ma być wynajęta sala, a spotkanie nagłośnione, aby mógł przyjechać każdy, kto chce. Gdańscy towarzysze SLD warunki przyjęli jako oczywiste i obiecali solennie wszystko ładnie zorganizować. Ustalono datę, wynajęto salę w gdańskim NOT na ul. Rajskiej.

Jakaż była moja konsternacja, gdy sala NOT-u okazała się upstrzona plakatami Jerzego i Andrzeja Śniegów, działaczy SLD z Kwidzyna. Spotkanie zaczęli od prezentacji siebie. Było to naruszenie warunków umowy. Była to także oczywista informacja, po co to spotkanie w ogóle zorganizowano – aby się Śniegi mogły podpromować. Ja wówczas kompletnie nie miałem pojęcia, kim są, nie miałem kompletnie orientacji w podziałach i wpływach sił w pomorskim SLD. Bo też nic mnie to nie obchodziło. No i nie miałem pojęcia o ich walorach moralnych i intelektualnych.

Ale to część anegdoty. Najmniej pyszna.

To nie są moi koledzy!

Po spotkaniu w sali NOT-u Urban przyjął zaproszenie na coś w rodzaju bankietu w pensjonacie Tulipan leżącym na Wyspie Sobieszewskiej. Kawał drogi. Pojechaliliśmy tam wiezieni jaguarem przez kierowcę Urbana – szefa, Małgosia Daniszewską i ja.

Na miejscu było już sporo osób. Mało kogo znałem. Jedyny, kto mi się rzucił w oczy, to Janusz Leksztos, niegdyś uchodzący za jednego z najbogatszych Polaków, właściciel potężnego na początku lat 90., a potem upadłego El-Gazu. W 2005 r. Leksztos już nic nie znaczył.

Dopiero po czasie okazało się, że była tam jeszcze jedna ciekawa osoba. Ale to potem.

Bankiet jak bankiet. Taki z bardziej siemiężnych. Urban bardzo oszczędnie jadł i pił, co – już to wiedziałem – było sygnałem, że nie został oczarowany towarzysko i siedzi tylko z grzeczności, myśląc o chwili, kiedy będzie mu wypadało wyjść bez zbytniej demonstracji. Po zbiorowym zdjęciu nadeszła ta chwila. Już w progu Daniszewska dostała od właściciela pensjonatu słoik śledzi według jego receptury. Tak jej smakowały, że przez jakiś czas zamawiała przeze mnie u niego te śledzie wiaderkami, a ja je woziłem samochodem z Gdańska do Warszawy, zyskując na długo redakcyjny przydomek „Śledź”.

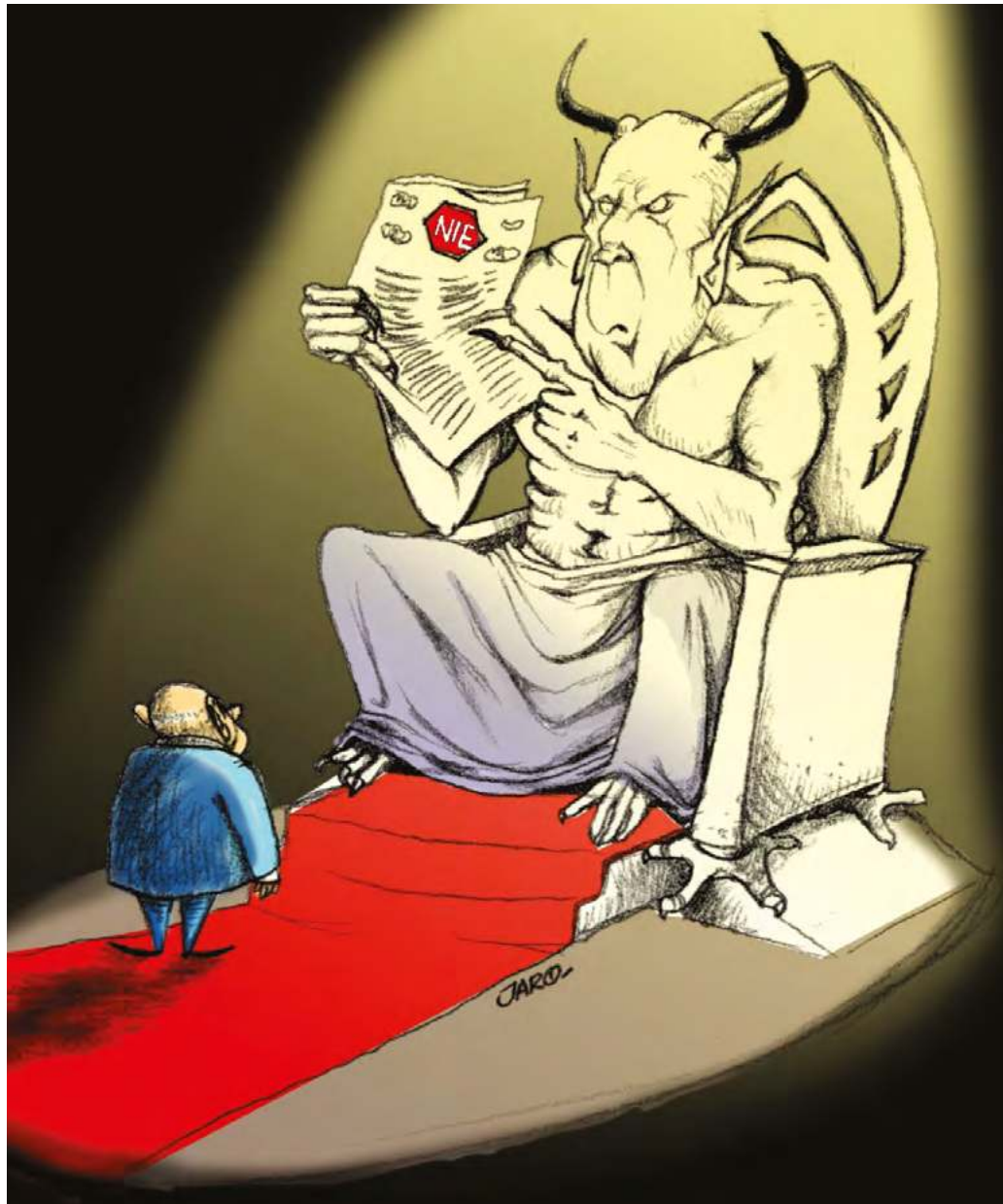
Opuściliśmy Tulipana i pojechaliliśmy z powrotem z Wyspy Sobieszewskiej do centrum. Ja mieszkalem we Wrzeszczu, Urban z Daniszewską mieli wynajęty hotel w Sopocie. I po drodze Urban się odzywał do mnie takimi słowami:

„Panie redaktorze (byliśmy wówczas jeszcze na pan), jeśli cała lewica w Polsce jest taka jak ci pańscy koledzy z Gdańska, to ja jej słabo wróżę”.

Zmartwiałem. „Cholera – pomyślałem – to jeszcze Urban gotów sądzić, że ja jestem pomysłodawcą tego spotkania i autorem scenariusza jego przebiegu”. Czym prędzej asekuracyjnie zastrzegłem: „To nie są i nigdy nie byli moi koledzy. Ja ich widzę pierwszy raz w życiu”.

Co zresztą było prawdą.

Ale to jeszcze nie koniec tej historii.



Pojawia się Kaczyńska

Jakieś dwa lata później zadzwonił do mnie Jerzy Śnieg, jeden z dwóch braci, którzy zorganizowali spotkanie z Urbanem, i nadał mi kulisy ślubu Marty Kaczyńskiej (tej, tej) z Marcinem Dubienieckim. Okazało się, że Dubieniecki jest chrześniakiem Śniega i Śnieg był nawet na wesele zaproszony. Mało tego, Śnieg mi zapodał, że jeden z ważnych działaczy SLD w Gdańsku Marek Dubieniecki był wraz z synem Marcinem (czyli panem młodym i zięciem prezydenta Lecha Kaczyńskiego) na spotkaniu z Urbanem w Tulipanie. Wszystko to opisałem w tygodniku. Wybuchła afera. I to nie ze strony Pałacu Prezydenckiego czy rodziny Kaczyńskich, ale ze strony Dubienieckich. Spotkałem się z Markiem Dubienieckim, który w imieniu syna żądał sprostowań różnych szczegółów. M.in. zaklinał się, że jego syna Marcina, męża Marty Kaczyńskiej, nie było wówczas na spotkaniu w Tulipanie. Dzisiaj nie ma to kompletnie żadnego znaczenia, ale wówczas dla nich miało, aby nie padł jakikolwiek cień podejrzenia o obecności na zbiorowym spotkaniu z Urbanem dwa lata wcześniej. Zwróciłem się wówczas do kilku osób z gdańskiego SLD, które mnie o zorganizowanie spotkania z Urbanem prosiły i tak mu się pięknie przypochlebiali, aby udostępniły mi zbiorowe zdjęcie wykonane w Tulipanie, na którym byli wszyscy uczestnicy. Aby mieć twardy dowód. Każdy się czymś wymigał. Tacy to są niestety ludzie.

Z talerza Urbana

Dzień po spotkaniu w Tulipanie zostałem zaproszony przez Daniszewską i Urbaną na kolację do dobrej hinduskiej restauracji w Gdyni.

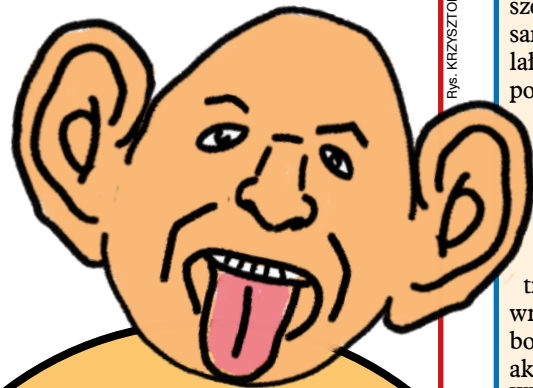
Gdy kelner przyniósł karty, Daniszewska od razu zarządziła, aby każdy koniecznie zamówił co innego, bo będziemy sobie próbować nawza-

jem z talerzy. Tak się stało, tzn. każdy zamówił inną potrawę.

Zanim zaczęliśmy jeść, kolejne zarządzenie Daniszewskiej: „Jurek, musisz z Waldkiem przejść na ty, bo przecież inaczej będzie się krępował sięgać do twojego talerza”. I tak zostałem po raz kolejny przedstawiony Urbanowi, tym razem z imienia.

Aha, nie pamiętam, czy wyjadałem Urbanowi z talerza... Znając siebie, nie sądzę.

WALDEMAR KUCHANNY



Panświnie

Tygodnik „NIE” znany jest z używania w druku słów uznawanych za wulgarne (choć pilnujemy, aby takie słowa nie ukazywały się w tytułach, nadtytułach, podtytułach i w tzw. zawiawkach na pierwszej stronie). To w swoim czasie była crème de la crème na rynku prasowym w Polsce, przedmiot analiz naukowców, m.in. prof. Michała Glowńskiego, który ukuł sformułowanie dotyczące języka tygodnika „NIE” – „panświnizm”. Mamy nawet stosowne ostrzeżenie na okładce, że „czasopismo zawiera słowa wulgarne oraz nieprzyzwoite...”. Kiedyś jednak, siedząc na tzw. planowaniu, Urban zwrócił mi uwagę: „Waldku, czy ty musisz tyle przeklinać?”. Urban na co dzień był bardziej subtelny niż jego medialny wizerunek i cechował się zaiste przedwojenną kindersztubą: zawsze wstawał, gdy ktokolwiek wchodził do jego gabinetu, przepuszczał wszystkich przodem, nie podnosił głosu ani tym bardziej się nie awanturował.

W.K.

Życie na Ursynowie było dla wszystkich takie samo. Każdy miał telewizor, regał z książkami, zastawę z Włocławka. Wszystkie dzieci chodziły na lekcje religii, ja też przystąpiłam do pierwszej komunii. Każde dziecko miało pieska, kotka lub chomiczka. My na balkonie czwartego piętra miałyśmy często gołębie, które samowolnie zakładały tam sobie gniazdo. Matka przeważnie wyrzucała ich jaja zaraz po zniesieniu, ale parę razy przegapiła ten moment i miałyśmy pisklaki. Jednemu matka nadała imię Wojciech, drugiemu Jaruzelski i kiedy zaczęły latać, moim zadaniem było wybieganie na balkon w wrzaskiem: „Wojciech, Jaruzelski – wypierdalać!”.

...

I w takim krajobrazie pojawił się on. Sztwno ubrany w popielaty garnitur, wyróżniał się na tle brodatych i roześmianych kumpli mojej matki. Na Ursynowie mężczyźni chodzili w dżinsach i kolorowych swetrach. Dziewczyny w rozkloszowanych spódnicach i asymetrycznych bluzkach często figlarnie pokazywały jedno ramię i dekolt. Królowały kolorowe makijaże i trwała ondulacja. A tu raptem szary garnitur. Synonim świata kontestowanego przez moją matkę i każdego, kogo znałam. Ta znajomość była tak kuriozalna, że cały blok miał z tego ubaw.

Każdy sąsiad miał pomysł, w jaki sposób matka powinna rzucić Urbana, tak by nie tylko bolało, ale też żeby go na zawsze ośmieszyć i skompromitować. Moja matka miała być odwetem za jego znienawidzone konferencje prasowe.

Przed randkami odbywały się konsultacje blokowe i pożyczanie ciuchów. Po powrotach – opowieści, gdzie byli, co kto mówił i kiedy następne spotkanie.

Los Urbana jako absztyfikanta matki wydawał się przesadzony. Szczególnie że matce też udało się nabrać mnie na historię o tym, że są to tylko żarty. Internowana w stanie wojennym, z tak zwanej porządnej rodziny, wiodła życie pełne przygód i ekstrawagancji, nieprzystające nawet do tak inteligentnego człowieka jak Urban.

...

Poznali się na przyjęciu u Zbyszka Rykowskiengo, prawnika i dziennikarza. Ze wspomnień matki wiem, że oczarowała go zestawieniem trampki i futurzanego płaszcza. On był wtedy żonaty, ale ponoć było to małżeństwo w fazie schyłkowej. Gdy przedstawiał się mojej matce, powiedział: „Przedstawiłbym pani moją żonę, ale chyba już leży gdzieś pijana”.

Wyobrażam sobie, że matka błysnęła wtedy perlistym śmiechem i już był cały jej. Na pierwsze randki umawiali się pod ursynowskim Megasamem. Matka twierdziła, że miejsce to pozwala zachować incognito. Nie wydaje mi się, aby pomysł spotkań pod jedynym w tej dzielnicy supermarketem, z którego wylewały się kolejki, miał temu służyć. Raczej obstawiam, że matka chciała w ten sposób dopilnować, aby każdy wiedział. Urban podjeżdżał tam swoim czarnym mirafiori, którego skajowe obicia siedzeń pachniały mdłym płynem do czyszczenia. Ale trzeba przyznać, że ten samochód robił wówczas wrażenie. Matka miała wtedy malucha w kolorze bordo – to był szczyt jej marzeń. Zimą wносиła akumulator na czwarte piętro, żeby nie ukradli. W mirafiori prezentowała się dużo lepiej. Pamiętam ten samochód, bo w nim został mi wręczony prezent – jamnik Smyk. Było to bardzo szybko po ich poznaniu i pamiętam swoje zażenowanie całą sytuacją. Dla wszystkich było jasne, że jest to łapówka, której wręczeniem Urban był tak samo skrupowany jak ja jej przyjęciem. Jamnika po krótkim namyśle postanowiłam przyjąć, a co do Urbana zdania nie zmieniłam. Dawałam mu góra kilka miesięcy. Atmosfera zaczęła jednak gęstnieć. Znajomi matki, w większości opozycjoniści, zaczęli zauważać, że dali się wystrychnąć na dudka. Śmiechy i żarty z romansu milkły, wokół nas roztaczała się aura cichej niechęci. Wtedy tego nie wiedziałam, ale w tym momencie musiał się odbyć szybki rozwój Urbana z Karyną Andrejewską, jego drugą żoną. Moi dziadkowie byli załamani, babcia zapowie-

Moje życie z Urbanem

Raz się zdenerwować – rzucał kaszanką po kuchni.

działa, że noga Urbana nie postanie w jej domu. Byłam za mała, aby być świadkiem rodzinnych i towarzyskich prób przekonania mojej matki, aby skończyła ten związek. Nic z tego nie rozumiałam, miałam poczucie, że matka oddaje swoje całe życie temu staremu człowiekowi w szarym garniturze.

...

Ślub odbył się na Mazurach w tajemnicy. Nie wiedział o nim nikt, ja chyba dowiedziałam się dzień czy dwa dni przed. Matka i Urban twierdziła, że ślub jest im potrzebny tylko po to, by móc zabiegać o większe mieszkanie. Cała ceremonia zajęła z 15 minut, mnie się w połowie znudziło, więc wyszłam. Matka była w żorzetowej sukience i na bosaka, Urban ubrany niedbale. Świadkami zostali kierowca i ochroniarz. Nie wiem, co naprawdę było przyczyną tej tajemnicy.

Całe późniejsze życie zwracali się do siebie per „żono ukochana”, „mężu ukochany”, więc było to dla nich ważne. Organizując ślub w Warszawie, co najwyżej mogli się obawiać małej frekwencji gości. Ich środowiska towarzyskie pasowały do siebie jak pięść do nosa.

Wersja o mieszkaniu była więc wersją obowiążującą. Czekając na nie, zamieszkaliśmy najpierw w służbowym mieszkaniu przy ul. Klonowej w Warszawie, potem w Wilanowie.

...

Osiedle w Wilanowie było pieszczotliwie nazywane przez warszawiaków Zatoką Czerwonych Świń lub skrótowo Zatoką Świń. Zamiast stworzenia takiej enklawy był w swojej prostocie genialny. Komuniści połączyli na tym osiedlu swoich z elitami kulturalnymi kraju, licząc na to, że wspólne picie wódeczki pozwoli tym grupom się zaprzyjaźnić. Więc w naszym bloku nad Urbanami mieszkał Kazimierz Kut z rodziną, klatkę dalej Grażyna Szapołowska, w następnej pan Kawalerowicz z żoną, obok Emilia Krakowska. W sąsiednich blokach Kwaśniewscy, Millerowie, Sekulowie, Oleksowie. O tym osiedlu krążyły legendy. Każdy warszawski taksówkarz opowiadał, że na dachu naszego bloku jest lądowisko dla helikopterów, a w piwnicach pewex. Prawda jest taka, że był to blok z wielkiej płyty, zbudowany z taką samą niedbałością jak wszystkie inne bloki w latach 80. W piwnicach były myszy i przetwory na zimę, dość często plądrowane przez złodziei. My dostaliśmy mieszkanie na parterze. Jak na tamte czasy ogromne, bo prawie stumetrowe, z ogródkiem na otaczającej blok skarpie. Skarpa ta powstała z betonowych resztek, pozostałości po budowie. Matka od razu zaczęła sadzić żywopłot, ustawiać donice i urządzać kolacje. Goście, którym przyszło do głowy dostać się do ogródka od zewnątrz przez skarpe, byli natychmiast ostro dyscyplinowani. Mieszkanie składało się z salonu, mojego pokoju, sypialni połączonej z gabinetem Urbana, dużej łazienki i osobnej toalety. Ekstrawagancją jak na tamte czasy były bidety, które części mieszkańców służyły przed świętami do moczenia śledzi czy przedłużania żywota karpom. Wnętrze matka urządziła po swojemu, stare meble połączyła z nowymi, sosnowymi, z sufitów zwisały witrażowe abażury, w oknach koronkowe firanki, wszędzie stały regały z książkami. Centrum mieszkania była mała kuchnia, gdzie na drewnianym stole pojawiło się cudo techniki, rosyjski grill pokojowy.

...

Przez ten grill kiedyś rozpętało się piekło. A mianowicie: pewnego dnia Urban postanowił zgrillować sobie kaszankę. Krojąc ją na grube plastry, zapytał uprzejmie mnie i matkę, czy będziemy jeść. Odpowiedziałyśmy, że zdecydowanie nie. Niestety, kiedy po 15 minutach zaczął z grilla wydobywać się nęący zapach, wróciłam do kuchni. Urban właśnie nakładał sobie na talerz zrumienione plastry kaszanki. Bez zastanowienia wyciągnęłam rękę i chwyciłam jeden kawałek. I wtedy rozpętało się piekło. Urban najpierw zbłądł, po-



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

tem zrobił się czerwony, wywalił zawartość talerza na stół i wrzeszcząc, walił w to rękami. Nie przestraszyłam się tego wybuchu, moja rodzina pełna była temperamentnych kobiet, które szczególnie w okresie menopauzalnym robiły gorsze rzeczy niż rzucanie kaszanką po kuchni. Po chwili Urban już stał ze spuszczoną głową, bo czuł, że zrobił z siebie pośmiewisko. Nigdy później już tak spektakularnie nie udało mi się wyprowadzić go z równowagi, czego szczerze żałowałam.

Do dziś uważam, że każda kobieta powinna od razu sprawdzić swojego mężczyznę, wyjadając mu z talerza. Jak robi scenę, to do widzenia.

...

Do ich sypialni i gabinetu Urbana zaglądałam rzadko. To znaczy rzadko, jak oni byli w domu, bo były tam dwie rzeczy, które mnie interesowały. W szafie na ubrania na górnej półce Urban trzymał broń. Teoretycznie szafa miała wbudowany mały zameczek, w praktyce nikt nie pomyślał, żeby go używać. Kończyłam właśnie podstawówkę i kiedy odwiedzali mnie znajomi, regularnie bawiliśmy się tym pistoletem, celując do siebie. Nie wiem, czy był nabity, czy nie. Nigdy się do używania go nie przyznałam – liczę tylko na to, że żaden kretyn nie dałby Urbanowi nabitej broni. Drugą interesującą rzeczą w tym gabinecie był tak zwany czer-

wony telefon. Służył on do służbowych ważnych rozmów i na pewno był na podsłuchu zgodnie z zasadą Lenina, że kontrola jest podstawą zaufania. Dostęp do tego telefonu był mi potrzebny do kontaktowania się z moją przyjaciółką Agatą Sekułą. Agata była córką ówczesnego wicepremiera Ireneusza Sekuły, więc podobny telefon miała w swoim mieszkaniu. Przez zwykły telefon stacjonarny nie mogłyśmy gadać godzinami, bo zawsze potem rozpętywała się w naszych domach afera, że nie sposób się dodzwonić do domu. Więc czerwony telefon, z którego Urban rozmawiał zawsze, stojąc na baczność, idealnie nadawał się do leniwych pogawędek o tym, co w szkole i kto nam się aktualnie podoba.

...

Matka uwielbiała gotować, wybitna kuchnia była jej sposobem na wyrażanie uznania dla osoby zaproszonej do stołu. Smak odziedziczyła po mojej babci, która potrafiła zrobić lody, ucierając śmietanę z truskawkami i cukrem w zimnej wodzie strumienia. Przygotowania do świąt Bożego Narodzenia u moich dziadków rozpoczynały się na początku listopada. Wtedy babcia piekla keksy, które miały być dodatkiem do siekanego śledzia. Matka do tej potrawy zamawiała trzy rodzaje śledzia ze Szwecji. Śledzie były dostarczane do Polski przez zaprzyjaźnione stewardesy, które zresztą w drugą stronę szmuglowały pączki i makowce od Bliklego.

Ale wracając do śledzia siekanego, było to danie dla najważniejszych gości. Kiedy w gości przychodził Adam Michnik, słowaczek śledzi czekał już na niego do zabrania do domu. Lubował się w nim Rywin, oczywiście do czasu afery, bo później przestał się kłaniać Urbanowi i matce. Do fanów śledzia należał też January Gościmski, który powiedział kiedyś słynne zdanie: „Z tym śledziem jest jak z moją żoną, niby nie wygląda, a jednak smakuje”.

Do popisowych przystawek ciepłych matki należały też małe bliny z mąki gryczanej podawane z kawiozem z jesiotra i drobno posiekaną szalot-

ką. Na zimno często pojawiały się różne wariacje chłodnika, w wersji najlepszej – z szyszkami rakowymi lub krewetkami. Raki kiedyś matka zresztą przytargała z wyjazdu na Syberię. Owinięte w mokry ręcznik hotelowy dzielnie zniosły wielogodzinną podróż. Każda przyprawa musiała być świeża, pochodząca z kraju uprawy, a im bardziej nielegalny transport, tym ranga dania potem była wyższa. Matka zresztą w restauracjach też wydawała szczegółowe dyspozycje dotyczące przygotowania jej dania. W ekstremalnych sytuacjach wchodziła do restauracyjnej kuchni dyrygować kucharzami. Zdarzało się jej też przynosić do restauracji swoją kiszoną kapustę, oliwę lub jakąś przyprawę. Zgodnie z zasadą: „Kto bogatemu zabroni?”. Ale trzeba jej przyznać: miała wybitny smak i odwagę eksperymentowania w kuchni. Miała dostawców od wszystkiego: kaczek, białej kielbasy, indyka, czarnych czereśni, które były podawane na lodzie, i tłum babć od jajek. Prezeso- wi podawano jajka zniesione tylko poprzedniego dnia od znanych nam kur. Wielokrotnie zdarzało się, że jajka były odsyłane do kuchni, gdy ktoś nie przestrzegał precyzyjnej instrukcji ich gotowania. To bałwochwalcze podejście do jedzenia odbiło się zresztą rykoszetem na ich życiu towarzyskim, gdyż niewiele osób spełniało te wyśrubowane standardy. Matka i Urban wiecznie wracali do domu rozczerowani kolacjami przygotowanymi przez znajomych. Godzinami opowiadali, jak okropnie zostali potraktowani, bo odbierali menu nieznacznie osobiście.

...

Oczywiście nie obchodziliśmy świąt. Kiedy żyli moi dziadkowie, to jeszcze z matką jeździliśmy do nich do Białegostoku. Urban też był kilka razy, ostentacyjnie niezadowolony ze spotkania rodzinnego. Szybko zaczęli przenosić się w tym czasie do hotelu, skarżąc się na niewygody w willi moich dziadków. Gdy urodziły się moje dzieci, matka parę razy zorganizowała świąteczne spotkanie. Urban schodził do jadalni na górą pół godziny, warcząc zawsze: „Nie będę uczestniczył w tych pogańskich obrzędach”.

Ale nieświadomie uczestniczył co roku. Dla mojej matki, mimo nienawiści do Kościoła, wigilijny stół był ważny. Więc Urban każdego 24 grudnia żarł to, co każdy Polak katolik: śledzie, karpia i uszka z grzybami. Prezentów nie było, to znaczy pojawiły się na kilka lat pod kątem dzieci, które wierzyły jeszcze w Świętego Mikołaja.

...

Matce często zarzucano, że wyszła za mąż za 20 lat starszego Urbana dla pieniędzy. To nieprawda, na początku ich małżeństwa to matka była majątniejsza, że tak powiem: z domu. Urbaną się pieniądze nie trzymały i jedyny dobry interes, jaki w życiu zrobił, to było wydanie tygodnika „NIE”. Wszystkie następne, na szczęście niewielkie, próby były porażkami. Rzeczywiście był niezwykle pracowity, należał do ludzi, którzy pracę zaczynają codziennie rano, a kończą późnym wieczorem. W trakcie miał tylko krótką przerwę na drzemkę. I od tej reguły nie było wyjątków. Jak nie pisał, to czytał, i tak w kółko.

MARTA MIECIŃSKA

Sami Żydzi

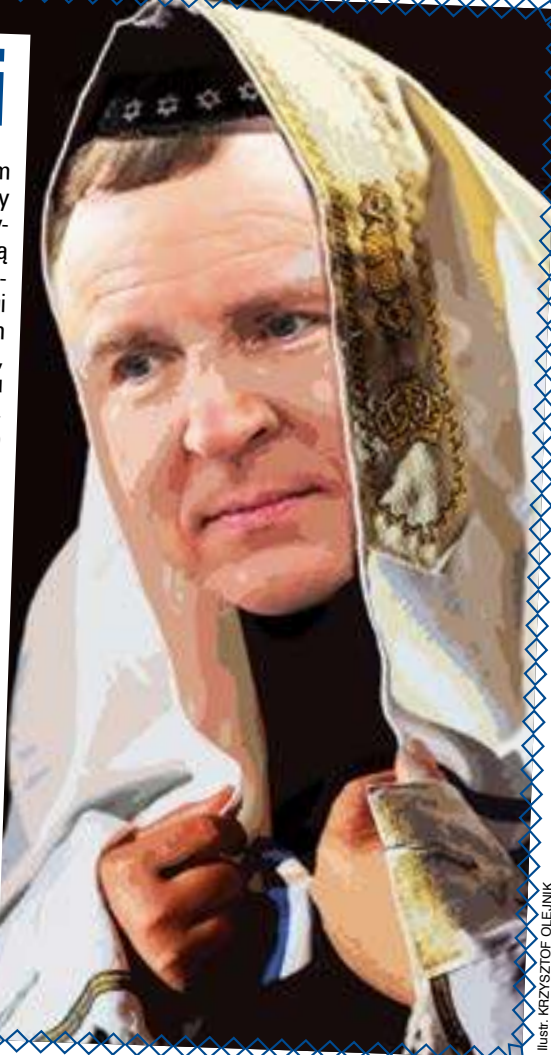
W 2014 r., kiedy Jacek Kurski był pierwszym fighterem Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry i startował z jej list do europarlamentu, Urban usłyszał od Adama Michnika plotkę, że Kurscy mają pochodzenie żydowskie. Michnikowi miał to powiedzieć jego zastępca Jarosław Kurski. I że drugi Kurski – Jacek właśnie – się tego wypiera. Urban zaczął się zastanawiać, jak to sprawdzić, bo chęć, żeby obśmiać bułteriera Kaczyńskich i Ziobry i mu przyłożyć, była w redakcji „NIE” spora. Wymyślił, że po prostu należy zadzwonić do Jarka, drugiego brata, zastępcy Michnika, i zapytać go o to po prostu i już. Będzie wiadomo, co z Jackiem.

Zadanie wykonania telefonu zlecił mnie. Można się domyślać, że nie paliłem się do tego, ale co robić. Zadzwoniłem do redakcji „GV”, połączyli mnie z Jarosławem Kurskim i pytam. Na linii najpierw zapadła długa cisza, a potem Jarek Kurski wyrzucił z siebie, że po kim, jak po kim, ale po nas takiego pytania trudno się było spodziewać.

Uff. Dobrze, że to było już za mną. Mogło być gorzej. Podziękowałam mu w myślach, że jest takim kulturalnym człowiekiem. Odłożyłem telefon. W tym momencie wszedł do mojego pokoju Urban i mówi, że bardzo mnie przeprasza, bo to był zły pomysł, niestosowny i mam nie dzwonić i nie pytać.

Lata później, w 2022 r., Agora wydała książkę Jarosława Kurskiego „Dziady i dybuki”, w której autor poszukuje i odkrywa swoje korzenie rodowe.

W.K.



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

Przychodzi Jaruzelski do Urbana

Jak upijaliśmy Generała.

W tygodniku „NIE” nie było świętości. Mogliśmy krytykować wszystkich. Nawet aktualnych liderów SLD. Nawet papieża. Nawet Pana Boga. Nawet samego Urbana, Łysym przez nas zwanego. Tylko jedna osoba pozostawała poza wszelką krytyką. Jak królowa brytyjska w Hyde Parku. Był to Generał Jaruzelski.

Generał kochał Urbana miłością szczególną, trochę ojcowską. Cenił, wtedy niedoceniane, jego analityczne zdolności i codzienną przekorę wobec świata. Grzeszący konformizmem, grzecznością i poukładaniem Generał kochał i podziwiał skrycie swego nonkonformistę i mistrza nieuczesań. Pewnie dlatego wybaczał Urbanowi te ciągle psoty, łudząc się, że zawsze chłopięcy Jurek kiedyś wreszcie dorośnie, czyli spoważnieje.

Urban kochał Generała miłością szczególną. Cenił jego analityczne zdolności i polityczną konsekwencję. Cenił Generała, bo ten jako jeden z nielicznych polskich polityków dostrzegł te wielkie analityczne zdolności Urbana. Dzięki temu Łysy został jednym z architektów, politycznych stolarzy Okrągłego Stołu. Będzie za to wielce doceniony przez przyszłych historyków piszących dzieje naszej ojczyzny.

Generał na I piętrze

Generała Jaruzelskiego poznałem w redakcji „NIE”, gdzie wstydził się przychodzić. Brzydził się wystrojem redakcji. Szokowały go apetyczne gołe cipki młaskające z wielkopowierzchniowych obrazów Krzysztofa Kuszeja i wszechobecne karykatury Urbana. Zwykle przedstawiające Łysego jako jedno z wcieleń kutasa.

Urban uwielbiał swych gości szokować, dlatego kazał wieszać swe szczególnie obrzydliwe karykatury w miejscach najbardziej eksponowanych w redakcji. Do tego jeszcze woskowa figura Lecha Wałęsy ustawiona przy schodach, też niektórych szokująca.

Na szczęście dla Generała obrzydliwe było jedynie do pierwszego piętra w dawnej siedzibie „NIE” – dwupiętrowej willi przy ul. Słonecznej 25, otoczonej małym ogrodem i płotem.

Na pierwszym piętrze dominował już gabinet Urbana. Składał się z recepcji, pokoju do pracy



rys. MARCIN BONDAROWICZ

i przyjmowania gości, sypialni z ubikacją oraz łazienki z wielkim jacuzzi. Kapaliśmy tam modelki przed, po i w trakcie rozbieranych sesji zdjęciowych zwanych elegancko happeningami.

Obok gabinetu Urbana urzędowali dyrektor wydawnictwa i jeden z zastępców redaktora naczelnego. Żaden z nich jacuzzi nie miał.

Na piętrze drugim i ostatnim był gabinet drugiego zastępcy naczelnego, gdzie przez lata urzędowałem, duży pokój dla dziennikarzy i słynny salon, udekorowany subtelnymi obrazami Teresy Pagowskiej, Jerzego Nowosielskiego i kilku innych równie wybitnych polskich malarzy. Wyposażony w gustowne meble wypoczynkowe, zwłaszcza kanapy pochodzenia włoskiego. Niejedną praktykantka straciła na nich cnotę. Dziennikarską rzecz jasna. Dziewice sensu stricto omijały redakcyjną willę szerokim łukiem. Taką plugawą opinię wtedy mieliśmy.

Generał na II piętrze

Na to drugie piętro Generał też nie wchodził. Choć nie było tam młaskających cipek ani kutasopodobnych Urbanów. Był w salonie bar. Ze wszystkim, co jest barmanowi potrzebne. Ze stałe pracującą maszyną do produkcji kostek lodu.

W połowie lat 90. taka kostkarka była w Polsce nowością i rzadkością. Wielu znajomych i ciekawskich odwiedzało redakcję, aby ujrzyć ten cud techniki i wypróbować go. Płynę do schładzania kostkami przynosili ze sobą i utylizowali na miejscu. Czynili tym bar wiecznie żywym.

Generał w pokoju

Generał Jaruzelski mimo noszonego munduru był zatwardziałym abstynentem. Bary starał się omijać. Brzydziły go jak cipki Kuszeja.

Dlatego wizytując Urbana, Generał z marszu forsował parter i szybko przedzierał się na schody, nie rozglądając się po skrzydłach. Tam na ścianach wisiały też te nieobyczajne obrazy. Po szybkim osiągnięciu rubieży pierwszego piętra wolnym już krokiem wchodził do pokoi Urbana. Gdzie oprócz jednego karykaturalnego Urbanopenisa nic już Jaruzelskich uczuć estetycznych urazić nie mogło.

Generał słabnie

Na wiosnę 1995 r. Generał znów zapragnął złożyć wizytę Urbanowi. Traf chciał, że trafił na imprezę redakcyjną. Imieniny księgowej. Wyprawiano je w sali grafików na parterze. Po bożemu. Ze stołem suto zastawionym zakąskami, sałatkami i baterią ciast domowego wypieku. Butelek też, bo prohibicji w redakcji nie było. I z chmarą sprosznionych gości.

Traf chciał, że Urban był wtedy zajęty biesiadnikami. Nie lubił takich zakładowych imienin, przychodził przymuszony obowiązkiem dobrego szefa. Po złożeniu stosownych życzeń musiał bawić towarzystwo, czego nie cierpiał. Pić wznoszone toasty, choć akurat na picie wtedy ochoty nie miał. Zwykle wymykał się z takich imprez pod pretekstem pilnej pracy.

Niespodziewanie przybyłego Generała od razu skierowano na imprezę, a tam wpadł w towarzystwo młodych redaktorek, praktykantek i aktywistek Ruchu „NIE”. Powabnych, dowcipnych i niezwykle uroczych. Na początku odmawiał konsumpcji zakąsek. Ale bateria ciast domowego wypieku przełamała jego obronę. Nieśmiało sięgnął po jedno, potem kolejne. Ku naszemu zdumieniu słynna sztywniacka zbroja z Generała opadła. Po tradycyjnym obcałowaniu rącek zaczął żartować, przekomarzać się z gronem swych wielbicieli.

Traf chciał, że stałem niedaleko z Januszem Atlasem. Redaktorem, pisarzem, zasłużonym playboyem PRL. Porozumieliśmy się bez słowa. Dołączyliśmy do koła fanek Generała. Janusz postarał się o kieliszki i butelkę, a ja polałem, bo umiem.

Wnieśliśmy toast za Generała. Wypili wszyscy. Ku naszemu zdziwieniu Generał też. Zauważył z lekkim zdumieniem, że chyba wypił wino. Ale to nic, wino słabiutkie, takie mszalne, uspokajały go fanki. Generał zaczerwienił się lekko i odpowiedział im kolejnym żartem. „Zdrowie solenizantki” – zaproponowaliśmy kolejny toast.

Ku naszemu zdumieniu Generał lekko łyknął następny kieliszek. Po nim na jego policzkach pojawiły się wyraźne rumieńce. Konwersacja nabrała tempa. Wyraźnie ożywiony Generał zaczął wyjaśniać otaczającym go fankom kolejne wojskowe definicje.

Teraz albo nigdy – spojrzeliśmy sobie w oczy z Januszem – taka historyczna szansa może się już nie powtórzyć. Rozlałem po raz trzeci. „Zdrowie wszystkich kobiet, jak polska tradycja nakazuje” – zachęcaliśmy. Tym razem Generał usztywnił się, wstrzymał ruch kieliszka. Ale zmasowane, zachęcające spojrzenia rozradowanych fanek znów wprawiły generalską rękę w ruch. Dostał za to brawa, niczym zwycięski olimpijczyk.

„Teraz za zdrowie Urbana” – szepnęł Atlas. „Polewaj szybko. Może wreszcie Generał otworzy się i zdradzi nam, jak to było ze stanem wojennym. Z Wałęsą, z Breżniewem, Gorbaczowem. Zdradzi tajemnice transformacji, zamachu na papieża”. Do boju – zmotywowałem się.

Ale wtedy poczułem się jak żołnierz z „Reduty Ordona”: „Aż ręka w ładownicy długo i głęboko szukała, nie znalazła – i żołnierz pobladnął, nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władał”. A ja w trzymanej butelce wina znalazłem już tylko pustkę.

Ponieważ z pustego nawet Janusz Atlas nie potrafił polać, obaj ruszyliśmy w poszukiwaniu pełnej butelki wina. Wódki, piwa, whisky było pod dostatkiem. Wino jakby wyparowało. „Ech, gdyby był tu Jezus... Gdzie jest Jezus?” – zawył z fideistycznej tęsknoty redaktor Atlas. Ale cudu jesusowego też nie było.

Za to widok rumanego, rozgadane, chichoczącego Generała zdumiał Urbana. Jednak po chwili refleksji ruszył mu na odsiecz. Wyrwał go z fraucymerowego okrażenia i wyprowadził w bezpieczne pielesze. Do swego gabinetu. Tak to Urban ocalił naruszaną już cnotę abstynencji Generała.

Co dalej, Generale?

Janusz Atlas został rzecznikiem Polskiego Związku Piłki Nożnej i zaraz potem umarł.

Generał Jaruzelski omijał PZPN, ale też umarł. Urban umarł niedawno, zupełnie niepotrzebnie.

Do końca życia będę mu wdzięczny za lata wspólnego, twórczego, kolorowego życia. I za niezwykłą okazję wypicia z Generałem.

Niewielu na świecie może się tym pochwalić.
PIOTR GADZINOWSKI

Klocki z jagnięciny

Czy Urban stał się religijny na stare lata?

3 sierpnia 2013 r. to była sobota. Swoje 80. urodziny w posiadłości w Konstancinie Urban wyprawił więc dokładnie w dzień swojego przyjścia na świat. Zaproszonych było – jak skrupulatnie wyliczył sam solenizant – 159 gości, z czego 25 osób usprawiedliwiło swoją nieobecność, trzy zaś nie przybyły, nie tłumacząc się z nieprzybycia. Podawano dania kuchni domowej, rosyjskiej, japońskiej i libańskiej, „wszystkie bardzo drogie, niestety” – jak później komentował gospodarz imprezy.

Ale skomentował on swoje przyjęcie urodzinowe także w sposób, który zmarszczył nam – w redakcji – skórę na pośladach. W swojej cotygodniowej stałej rubryce felietonowej zwanej „Blog by blagier Urban”, która ukazywała się na ostatniej stronie tygodnika, napisał:

„Dostałem wiele prezentów. Zespół „NIE” zamówił trzy futerały ze skóry i safianu haftowanego srebrem, a w nich żydowskie instrumenty modli-

twne. Katolik może iść do kościoła, jak stoi. Żyd musi mieć myckę, tałes (duża szmata) i jakieś klocki na rżemykach. Umiałem z tego włożyć tylko myckę. I tak sobie myślałem, czy w redakcji „NIE” za dużo aby nie zarabiamy, więc nie mają już na co wydawać, jak na przypomnienie mi, że jestem parchem”.

A było to tak: gdy zbliżał się dzień urodzin Urbana, zaczęliśmy się w redakcji zastanawiać, co mu kupić w prezencie. Nie była to taka prosta sprawa wbrew pozorom. Chcieliśmy być oryginalni, adekwatni i... mało rozrzutni.

Podczas redakcyjnej burzy mózgów na temat prezentu na 80. urodziny Urbana proponowaliśmy, aby kupić ornat i zlecić komuś wyhaftowanie na nim wizerunku błogosławionego już wówczas ks. Jerzego Popiełuszki. Może nie był to najmądrzejszy pomysł, na pewno na swój sposób hardkorowy, ale koledzy mnie zgasiłi, że Urban już kiedyś ornat dostał, co prawda bez wyhaftowanego Popiełuszki, ale taki zwykły, kupiony w sklepie z szatami liturgicznymi dla księży, więc i tak byłoby to powielanie pomysłu, a mamy być oryginalni. No i ktoś w tym momencie rzucił:

kupmy Urbanowi strój do modlitwy, ale taki, jaki zakładają rabini w synagogach.

Pomysł wywołał powszechny entuzjazm i tym samym został zaakceptowany przez aklamację. Sprawę zlecono do załatwienia mnie, wręczając w kopercie uciulane wśród wszystkich składkowe pieniądze na prezent. Nie pamiętam, ile tego było, ale okazało się za mało.

Nie miałem zielonego pojęcia, co składa się na strój modlitewny rabina i gdzie go kupić. Przez internet? Wpadłem na pomysł, aby pojechać na plac Grzybow-ski w Warszawie, gdzie mieści się czynna, pochodząca jeszcze sprzed wojny synagoga im. Zalmana i Rywki Małżonków Nożyków, zarazem siedziba Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie.



ilustr. PAWEŁ FERENC

Plotki o orgiach w basenie Urbana ekscytowały prawicę.

Dziady na weselu

„Ekscentryk nad ekscentrykami? Swawolnik nad swawolnikami? Raczej diabeł wcielony albo szatan we własnej osobie. Wysłannik piekieł alias Benjamin Bezetny. Pod takimi imionami był powszechnie znany, a raczej pod takimi imionami był powszechnie znienawidzony. Wiecie, o kim mówię. O byłym rzeczniku komunizmu, a obecnym magnacie medialnym. O cyniku nad cynikami. O geniuszu nad geniuszami. O demonie nad demonami. O człowieku, który radził sobie ze wszystkim.

Z izolacją zawodową, czyli z niechęcią praktycznie całej »wolnej prasy«, poradził sobie w ten sposób, że założył własną gazetę. Inteligentnie redagowany, jadowicie antyrządowy i prowokacyjny pod względem obyczajowym libertyński tygodnik zyskał w błyskawicznie krótki czas zawrotny nakład i przyniósł mu krocie.

Z anatemą towarzyską poradził sobie z wirtuozerią zgola morderczą. Wziął mianowicie władzę towarzyską w swoje ręce. O »z wolna przeradzających się w orgie rautach«, jakie urządził w »swoim uroczysku«, krążyły legendy. [...] Kto był, rozsiewał aurę przynależności do wyjątkowo wprost wtajemniczonego kręgu. Bajki opowiadano niebawem. Przeważnie złowrogie i straszne. O kobietach i mężczyznach, co wszystko czynić byli w stanie».

Te fragmenty pochodzą z książki Jerzego Pilcha „Marsz Polonia”. Cała powieść to opis balu, który odbywa się w posiadłości bohatera, nazwanego Bezetnym. Pilch wiedział, co opisuje, bo kilkakrotnie gościł na takim balu. Przytoczone fragmenty to właściwie najbardziej esencjonalna, a jednocześnie nadzwyczaj trafna nota biograficzna poświęcona Urbanowi. Niewiele dodać, nic ująć.

Czerwonym autobusem

Książka Pilcha została wydana w 2008 r. przez Świat Książki w serii „Nowa proza polska”. Jeśli trafnie odczytuję intencje autora, miała nawiązywać do takich dzieł literackich jak „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego, „Miazga” Jerzego Andrzejewskiego czy „Mała Apokalipsa” Tadeusza Konwickiego, a nawet do sceny balu u Senatora w III części „Dziadów” Adama Mickiewicza. Przy wódce i zakąsce Pilch chce się przyglądać i przygląda polskim sprawom. Na wiele różnych sposobów, co sam podkreśla – metafizyczny, polityczny, teologiczny, autobiograficzny, sensacyjny i satyryczny. Uff, sporo tego. Książka – powiedzmy sobie szczerze – wielkiego uznania wśród czytelników nie zdobyła, nawet wśród tych, którzy Pilcha czytają namiętnie. Nie doczekała się drugiego wydania. Za to można ją nabyć bez trudu na Allegro za 10 zł.

Na okładce książki wykorzystano obraz „Autobus” Bronisława Wojciecha Linkego ukazujący w sposób metaforyczny polskie społeczeństwo okresu małej stabilizacji, która nastąpiła

Pojechałem. Ale w które drzwi zapukać? O kogo pytać? Dojrzałem znajdujący się obok szyld „Sklep koszerny. A. Szyc & J. Lipka”. Gdzie jak gdzie, ale w sklepie mogą wiedzieć.

Trwało chwilę, zanim wytłumaczyłem, co chcę kupić. I dowiedziałem się, że elementy żydowskiego stroju modlitewnego to: tałes – duży prostokątny kawałek materiału, zazwyczaj wełnianego, na którego rogach umieszczone są ciccis – frędzle, noszony podczas codziennych modlitw w dni powszednie przez dorosłych mężczyzn; atara – ozdobny pas dekorowany srebrnym wypukłym haftem, naszywany na górną krawędź tałesu; tefilin – dwa małe czarne skórzane pudełeczka wykonane z jednego kawałka skóry koszernego zwierzęcia, np. jagnięcia, w których znajdują się cztery ustępy Tory, ręcznie przepisane w języku hebrajskim przez sofera (żyda pełniącego funkcję skryby, uprawnionego do przepisywania świętych pism) z rzemieniem pozwalającym zawiązać pudełeczka wokół głowy – tefilin, podobnie jak tałes, noszony jest podczas codziennych modlitw. Okazało się, że z tego wszystkiego tefilin jest najdroższy, bo może kosztować i kilka tysięcy.

Po pierwsze brakowało mi pieniędzy, po drugie i tak czegoś takiego na tamtą chwilę nie było do kupienia w całej Warszawie.

Szczerze się zmartwiłem i westchnąłem, że to ma być prezent urodzinowy dla samego Jerzego Urbana.

Właściciel sklepu, czy też jeden z właścicieli, na moje słowa się rozpromienił.



po 1956 r. Obraz Linkego należy do najwybitniejszych dzieł sztuki powstałych w okresie PRL. Jednak na obrazie zmęczeni ludzie wracają wieczorem do domów. U Pilcha jadą autobusem spod Pałacu Kultury i Nauki do posiadłości pod Warszawą na wystawne przyjęcie.

– To Jurek się zrobił religijny na stare lata? – rzucił z uśmiechem.

Okazało się, że tefilin i tałes z odpowiednio wyszywanym pasem odpowiednio dostojnej jakości da się szybko w ciągu kilku dni ściągnąć z samej Jerozolimy. Ale nawet bez żadnej marzy, po kosztach, będzie to o wiele więcej, niż miałem składkowych pieniędzy.

– Okej, niech będzie – zaakceptowałem w nadziei, że potem wśród kolegów jeszcze dozbieram.

Do ściągniętych z Jerozolimy atrybutów modlitewnych dołożona została jarmułka.

Podczas przyjęcia urodzinowego nastąpił czas wręczania solenizantowi prezentów na specjalnie postawionej w ogrodzie podwyższonej scenie, gdzie wcześniej przygrywał zespół jazzowy. Prezent od zespołu tygodnika „NIE” wręczała młódz redakcyjna w osobie Malinki Błańskiej i Michała Marszałka. Gdy Urban odpakował dary, widać było na jego twarzy lekką konfuzję. Oczywiście od razu wiedział, co dostał. Próbował – robiąc dobrą minę – to założyć, ale rzecz jasna w ogóle nie wiedział jak. I może na tym by się skończyło, gdyby na scenę nie wkroczył zaproszony i obecny na przyjęciu Szwach Weiss, zaledwie dwa lata młodszy od Urbana izraelski dyplomata, polityk i politolog. On wiedział, jak się zakłada tefilin i tałes, i odział Urbana niezwykle sprawnie.

Jaki był komentarz Urbana po tym wydarzeniu, cytowałem na początku tekstu.

WALDEMAR KUCHANNY

Pierwsze, o co zapytał prawicowy polityk, były minister, wydałoby się

poważny człowiek, to jak wyglądają te legendarne orgie w basenie u Urbana. Skąd kaptowane są panienki. I jaki jest

klucz doboru gości, tzn. czy on mógłby się jakoś załapać.

Pytał mnie niezwykle serio. W ogóle raczej tego polityka nigdy nie kojarzyłem z poczuciem humoru. Ale też nie z zainteresowaniem takimi tematami.

Co ty wiesz o orgiach

Niestety nie mogę usatysfakcjonować czytelników. Nic o żadnych orgiach mi nie wiadomo, a raczej wiadomo tyle, że były legendą. Ja u Urbana w domu w Konstancinie zacząłem na przyjęciach bywać regularnie od 2011 r., kiedy zostałem jego zastępcą i zamieszkałem w Warszawie, choć raz i drugi wcześniej zaliczyłem proszone kolacje w węższym gronie redakcyjnym. Bo kilka razy w roku były to kolacje dla kilku zaproszonych gości. Biesiady dla większej liczby gości odbywały się w Konstancinie dwa razy w roku: z okazji urodzin Urbana na początku sierpnia oraz z okazji – celebrowanej z jeszcze większą pompą – rocznicy ślubu Urbana z Gosią Daniszewską.

Zawsze dla gości jadących do Konstanciny podstawiany był na ul. Słonecznej 25 przed siedzibą ówczesnej redakcji autobus. Stąd i autobus w powieści Pilcha. Z powrotem też był transport. Rozwoził kierowca Urbana, pan Krzysztof.

Menu na przyjęciach było bardzo zacne: sushi, wędzone węgorze, krewetki, czeresnie podawane w misach z lodem. Plus jakieś dania na ciepło typu chili con carne. Oczywiście alkoholu do oporu – czerwone wino, whisky, czysta. Jedno, co jest pewne, to że można było się na takiej imprezie upić. I niektórzy się upijali. Potem trzeźwieli w fotelach lub na kanapach albo byli odwożeni do domów.

Ponieważ Urban już w tych latach ze względu na wiek, ale także niechęć do masowego imprezowania nie pił zbyt dużo alkoholu, to często krążył wśród gości z kieliszkiem wody, udając, że to wódka.

Przez 10 lat, gdy bywałem na tych imprezach, nie wybuchł ani razu żaden skandal, nikt się nie rozbierał, nikt nie kapał się w basenie ani też nawet nikt do niego nie wpadł po pijaku.

A jednak na golasa

Jedyną znaną mi historią wpisującą się w plotki o „orgiach”, jest opowieść o kąpaniu się nago w basenie Urbanowych gości na początku lat 90. Ponoć jednocześnie wskoczyło do niego kilkunastu gości podochoconych alkoholem. I podobno w tym basenie dochodziło do wzajemnych pieszczot. Wśród kąpiących się byli ceniony i kultowy już za życia muzyk Grzegorz Ciechowski i jego żona Małgorzata Potocka. I chyba tylko dzięki tym nazwiskom ta opowieść przetrwała. Podobno ktoś wówczas robił z brzegu zdjęcia, ale podobno ktoś inny wyjął z aparatu kliszę. Zdjęcia nigdy nie ujrzały światła dziennego.

I była to jedna jedyna „orgia” w posiadłości Urbanów, o której słyszałem. O wielu jednak mogłem po prostu nie słyszeć. Najważniejsza jednak jest legenda.

W.K.

PiS walczy o głosy potomków polskich „świń”.

Folwark zwierzęcy

Liderzy PiS zagrali po świńsku. Pierwszy polityczny knur Zjednoczonej Prawicy, prezes Kaczyński, wspomagany przez swą trzodę, czyli premiera Morawieckiego, prezydenta Dudę, a nawet ministra Ziobrę, pouczyli Polaków, że dzisiaj „tylko świnie siedzą w kinie”. Nie oglądają tam filmów, zwłaszcza „Zielonej granicy” wyreżyserowanej przez Agnieszkę Holland.

Te polityczne, spasione finansowo wieprzki przywołały hasło malowane przez chudych polskich podziemnych harcerzy w czasie okupacji niemieckiej zwykle w inteligenckich dzielnicach Warszawy. Bywały też w Krakowie, widziano je przy kinie w Lublinie. Zdarzyło się, że dzielni harcerze wrzucili śmierdziuchy podczas stołecznego seansu kinowego, przerywając go.

Potem hasło „Tylko świnie siedzą w kinie” przeszło do mitologii patriotycznej. Zwłaszcza kulturowanej przez potomków ówczesnej inteligencji. Dziś piszącej na murach: „*****”.

Świnie były w kinie

Tak naprawdę w czasie okupacji niemieckiej Polacy masowo chodzili do kina. Potwierdzają to pamiątki z tamtego okresu i raporty przesyłane rządowi londyńskiemu przez struktury Polskiego Państwa Podziemnego.

Z relacji rodzinnych wiem, że moja Teściowa wzdrygała się przed pójściem do kina. Była córką dyrektora polskiej szkoły na Kresach. To ona widziała ów napis podczas wizyty w Lublinie. Nie przyznała się, czy tam do kina poszła. U siebie nie chodziła, bo tam kina nie było.

Jej powojenny mąż, mój Teś, mieszkał wtedy na warszawskiej Pradze, gdzie dziś PiS zdobywa najwięcej głosów w wyborach. Żył w biednej rodzinie drobnomieszczańskiej. Od dziecka pracował w zakładzie szewskim. W czasie okupacji zarobione pieniądze wydawał na kino. Napisu „Tylko świnie siedzą w kinie” nigdy w swojej Warszawie nie widział. Jesienią 1944 r. przestał chodzić, bo okupanci wywieźli go na przymusowe roboty do Austrii, a potem do obozu koncentracyjnego. Po wyzwoleniu do kina nadal regularnie chodził.

Mój Tatusi podczas okupacji w Częstochowie chodził do kina patriotycznie i służbowo. Jako żołnierz podziemia, przedwojenny podoficer i kombatan kampanii wrześniowej 1939 r. Po seansach robił dla podziemia analizy niemieckich kronik wojskowych. Czytał między wierszami. Chodził tam ze swą narzeczoną, przyszłą moją Mamusią, która miała piękny charakter pisma i tatusiowe analizy przepisywała piękną polszczyzną. W kinie Mamusia czuła się bezpieczna, bo tam Niemcy i Polacy nielegalnych Żydów i Polaków nie kontrolowali i nie wyłapywali.

A w tym czasie Mamusia była w Generalnej Guberni ściągana przez ówczesną niemiecką straż graniczną, niemieckie gestapo i polską policję granatową, ponieważ w Częstochowie przebywa-

ła nielegalnie. Bo najpierw mieszkała w niedalekim Kłobucku, za czasów okupacji włączonym do III Rzeszy Niemieckiej. Potem wywieziono ją na niewolnicze roboty, skąd Tatusi ją wykupił i przywiózł do Częstochowy.

Wtedy Niemcy też oficjalnie zwalczali nielegalne przekraczanie granicy między III Rzeszą a Generalną Gubernią, ale za pieniądze wyrabiali uchodźcom lewe papiery. Podobnie jak dziś władza PiS. Jedną ręką buduje mur przeciwko migrantom wysyłanym przez konkurencyjny gang Łukaszenki, a drugą bierze łapówki od migrantów za wydawane im polskie wizy do Niemiec lub USA.

Jak w TVPiS

Wbrew kłamstwom politycznych knurów PiS podczas niemieckiej okupacji w polskich kinach nie wyświetlano jedynie antypolskich filmów i kronik filmowych. Wyświetlano tam przede wszystkim niemieckie filmy plugawie Żydów i międzynarodową liberalną finansjerę. A po agresji na ZSRR – atakujące także ateistyczny bolszewizm, żydowski marksizm, komunizm i kryptożydowską finansjerę z Waszyngtonu i Londynu. Filmy prezentujące nacjonalistyczny, ksenofobiczny, rasistowski, faszystowski i konfrontacyjny styl myślenia. Bliższy dzisiejszym elitom PiS, zwłaszcza Bąkiewiczowi i Kizkowi, niż znanej reżyserce Agnieszce Holland.

Prezentowane wtedy filmy z udziałem polskich aktorów również nie były antypolskie. Nie plugawiły wprost Polaków. Nie obryzdywały piękną polskiego krajobrazu. Były to przede wszystkim filmy komercyjne, prezentujące prymitywną rozrywkę. Wyprane z treści intelektualnych, schlebające najniższym estetycznym gustom. Masowym niestety. Na poziomie dzisiejszego disco polo. Podobnym do oferty kulturalnej dzisiejszej TVPiS.

Ówczesni patriotyczni inteligeni i władze podziemnej Polski nie krytykowali polskich aktorów za ich udział w antypolskich produkcjach niemieckich, lecz w produkcjach rozrywkowych propagujących przede wszystkim bezmyślność. Odmóżdżających miliony polskich kinomanów. W produkcjach podobnych do tych, jakie codziennie znajdujemy w ofercie TVP 1 i TVP 2.

Każdy ówczesny seans filmowy był przymusowo poprzedzony niemiecką kroniką wojenną sławiącą chwałę niemieckiej armii i jej sukcesy, zwłaszcza na froncie wschodnim, a przy okazji sławiącą czar niemieckiego munduru.

Propaganda wieprz

Dziś pisowski minister Błażej Poboży małpuje ten zabieg nazistowskiej propagandy i chce przymusowo poprzedzać film „Zielona granica” kroniką sławiącą chwałę polskiego wojska, straży granicznej i policji oraz dokumentującą ich walkę z migrantami na wschodniej granicy.

Kandyduję do Sejmu RP z listy Lewicy w okręgu warszawskim i przy okazji pytam: czemu minister Poboży chce wprowadzić standardy niemieckich nazistów do polskiego kina? Czy jest na pewno prawdziwym Polakiem, czy jakąś ukrytą opcją niemiecką?

Elity PiS grają w tej kampanii wyborczej dawnym hasłem „Tylko świnie siedzą w kinie” i jednocześnie zabiegają o głosy potomków ludzi, którzy masowo wtedy do kin chodzili. Swą ofertę kierują do potomków nacjonalistycznego drobnomieszczaństwa, robotników, prowincjonalnych inteligentów, rzęs młodzieży spragnionej wtedy rozrywki.

Elity PiS znowu co innego obiecują, mówią, a co innego robią. Znowu próbują oszukać ciemny lud. Przypominają tym cwane wieprze z powieści „Folwark zwierzęcy” George’a Orwella. One najpierw popierają je zwierzętom obiecały antyelitarną rewolucję. A potem, na ich plecach, wskoczyły w wygodne buty elity.

PIOTR GADZINOWSKI

ZGWAŁCĘ WSZYSTKO,
JAK MI STANIE!

Świat niedobrowolnego celibatu.

Konfederackie przegrywy

Mój ponad 70-letni ojciec kilka miesięcy temu ochujał. I nawet nie jest prawdą mądrość ludowa: „Głowa siwieje, dupa szaleje”, bo stary jest już raczej łysy. Zaczęły mu się marzyć czterdziestki. Ryczące i chętne na seks z otyłym gościem ze sztuczną szczęką, o wzroście mniej niż 170 cm. Z mieszaniną zażenowania i konsternacji z bratem zaczęliśmy słuchać jego wynurzeń o kobietach chodzących nago po saunarium, które – jak gadał śliniący się oblech – „na dole są wygolone jak Ewa”. A już myślałam, że się zrzygam, jak zaczął snuć fantazje o Ukrainkach, którym gotów jest zapłacić za sprzątanie i inne usługi w pakiecie.

Pół biedy, jak stary w aucie słuchał wiejskich przyspiewek typu „Przeleć mnie w tej koniczynie”, ale cała bieda, jak zaczął dostawiać się do mojej koleżanki młodszej od niego o grubo ponad 30 lat.

Dopiero dzięki właśnie opublikowanej książce „Przegryw. Mężczyźni w pułapce gniewu i samotności” autorstwa Patrycji Wieczorkiewicz i Aleksandry Herzyk dowiedziałam się, że mój ojciec to przegryw i incel (skrót od angielskiego określenia niedobrowolnego celibatu).

Nienawiść do kobiet

„Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet” – ten tytuł książki z trylogii „Millenium” Stiega Larssona

na najlepiej oddaje świat polskich (i nie tylko polskich) inceli i przegrywów. Samotność i niezdolność znalezienia partnerek seksualnych to społeczna plaga. Wśród osób urodzonych po 1989 r. jest prawie połowa singli (47 proc.) i jedynie 20 proc. singlek. A dzieje się tak zapewne dlatego – piszą Wieczorkiewicz i Herzyk – że obie grupy się rozjechały pod względem wykształcenia i poglądów. W przedziale 25–30 lat wyższe wykształcenie ma 58 proc. kobiet i tylko 38 proc. mężczyzn.

Ale kluczowe są poglądy. Faceci, zwłaszcza incelle, to zwolennicy prawicy, głównie Konfederacji i narodowców. Kobiety są znacznie bardziej liberalne i lewicowe. Budzi to zażartą wrogość inceli, którzy wbrew faktom – ale to bez znaczenia – oskarżają je, że się puszczają na prawo i lewo i przebiegają w facetach jak w ulegawkach. Ze internet, aplikacje randkowe, zmiany obyczajowe i skuteczna antykoncepcja spowodowały, że laski biorą sobie najwyższych, najprzystojniejszych, najbogatszych i – rzecz jasna – najhojniej obdarzonych przez naturę.

A przegrywy są niskie, często mieszkają na wsi i w małych miasteczkach. Mają się, słusznie czy nie, za brzydkich, nieatrakcyjnych. Twardzi incelle są dogonnymi prawiczkami. Oto krótka charakterystyka niejakiego Dewianta z „Przegrywa”: „Jest uzależniony od masturbacji. Potrafi poświęcić jej wiele godzin, od zmiernych do świtu, przez co

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

Mamy w Polsce po 1989 r. **elity artystyczne i intelektualne** bodaj **najgorzej od dwustu lat**. [...] U nas świat establishmentu postawiony jest na głowie jak nigdzie indziej w zachodnim świecie. Nasi herosi życia publicznego to by chcieli każdej rodzinie zająć do portfela i zobaczyć, na co wydaje legendarne „pięćset plus”, ale sami to potrafią nakręcić światowej sławy film i jednocześnie ukrywać, że się capnęło na ten cel 300 tysięcy z warszawskiego ratusza. O ich finansach, a zwłaszcza półoligarchicznych fortunach takich Walterów i Kulczyków to ani słowa, tylko ten biedny Kowalski ma udowodniać, że socjału nie przepił, nie przepalił.

Jakub Maciejewski, Wpolicity.pl, 24 września

Oni każą nam wpuszczać imigrantów z różnych stron świata, inaczej będziemy ksenofobami, ale oczywiście mamy ich zapraszać nie do **salonów Ostaszewskiej czy Stuhra**, ale na nasze blokowiska i na nasze ulice. Oni w swoim mniemaniu pozostają kwintesencją

elegancji, nawet gdy idą na miasto „j.b.ć PiS” czy krzycząc „w.p.e.dalać”, ale to my mamy być kreśleni jako sadyści z „Zielonej granicy”, antysemici z „Wesela 2” czy prymitywy z „Pokłosia”. Oni mogą nawet sobie źródła historyczne poprawiać, wycinać i dopisywać, jak to robią **Engelking z Grabowskim** przy aplauzie „Newsweeków” i TVN-ów, a spróbuj, Polaku, sprostować, to dopiero zrobimy z Ciebie faszystę i pisowca.

dalej Maciejewski

Pani Holland jest osobą może nie z tego najwyższego szczytu światowego filmu, ale dość wysoko, a więc jest też powiązana z różnymi środowiskami i tą drogą można popsuć opinię i ona to cynicznie robi, i całe to środowisko, które ją popiera. Trzeba wymienić „Gazetę Wyborczą”, że to cynicznie robi. Właśnie grupa, w której skład wchodzi to środowisko, w tej chwili prze do władzy. Pamiętajcie, państwo, kto prze do władzy – **ośrodki całkowicie jednoznacznie antypolskie**.

Jarosław Kaczyński, konwencja PiS w Gdyni, 24 września

Tak naprawdę ten film robi z nas, Polaków, bandę ciemniaków, prymitywów, ludzi, którzy nie zasługują na jakikolwiek szacunek. [...] Ten film Holland, PO i Tusk zasługują na najwyższe potępienie. „Zielona granica” to na dobrą sprawę **apogeum pedagogiki wstydu**.

Mateusz Morawiecki, Facebook, 24 września

Dlaczego więc Agnieszka Holland – dysponując już tą wiedzą – uparcie brnie w **antypolską narrację**, stanowią-

często jest niewyspany i rozdrażniony. Twierdzi, że wygląda jak typowy *coomer* (dosłownie: szczytujący), wyraźnie nieszczęśliwa postać z memów, charakteryzująca się przekrwionymi oczami i wydatnymi mięśniami prawej ręki: – Nie mam żadnych zainteresowań, moją pasją jest walenie konia”.

Inwazja prawiczków

Przegrywy to zwykle prawiczkowie w sensie ideologicznym, choć zdarzają się (rzekomi) lewicowcy. Patriarchat kochają, feminizmu nie cierpią, uważają emancypację kobiet za swoje nieszczęście. Bo taka wyemancypowana kobieta to – w najdelikatniejszej wersji – zimna suka, a w odmianach bardziej ostrych zdarzają się wręcz wezwania do gwałtów albo morderstw. Bo strzelanie sobie samobóją przedzie bez echa, a zabijanie innych będzie prawdziwą tragedią. Cóż, dziwnie przypomina to Herostrata, który chcąc przejść do historii, a będąc zwykłym szewcem, podpalił przepiękną świątynię Artemidy. Nie jest to szczególnie godne pochwały, wręcz przeciwnie... Ale jednak

problem samotności i gniewu, nie tylko młodych, lecz także starych (jak mój ojciec), mężczyźni w Polsce, nie tylko w zresztą u nas, jest jak najbardziej prawdziwy. W niektórych częściach świata, gdzie wyśkrobuje się płody żeńskie, są dziesiątki milionów nadwyżkowych mężczyzn, którzy nie mają szansy na małżeństwo, a jeszcze bardziej reprodukcję.

Stąd też azjatyckie porywanie kobiet i epidemie brutalnych gwałtów.

Wolny rynek seksualny

Ciekawe, że przegrywy zwykle kochają wolny rynek, prawo własności i kapitalizm. Ale patrząc trzeźwo, tak też przedstawiali to klasyczni filozofowie liberalni, wszelkie prawo własności bierze się z prawa własności do własnego ciała. A rzecz w tym, że incele odmawiają kobietom prawa własności do własnych ciał.

Bo jak inaczej rozumieć ich zale i wkurwienie, że nie mogą decydować o tym, co robią ze swoimi ciałami kobiety, na które oni mają ochotę. A jakoś często mają ochotę na te wysokie kształtne blondynki o śnieżnobiałych zębach. I to one budzą największy resentyment, a także ci dwumetrowcy z podobno wielkimi fujaarami, jeżdżący drogimi autami i mający szalone powodzenie u płci pięknej.

Uznają, że kobietom jest znacznie łatwiej, bez względu na wygląd, status społeczny i wszelkie inne cechy zawsze znajdą kogoś chętnego na ich wdzięki. A z przegrywami nikt nie chce się ruścić, a wszyscy ich – mówiąc metaforycznie – rućchają w każdy otwór, gwałcąc przez uszy. A mało kto to lubi.

Inna rzecz, że – przynajmniej na razie – wśród rodzimych inceli dominuje samotność, a gniew, na szczęście, kończy się głównie (często ohydny!) gardłowaniami w sieci. Jednak w historii bandy przegrywów niekiedy przewodzili im kawalerowie z kotem, nieraz się skrzykiwali i brali za mordę całe kraje.

A co z laskami?

Pamiętam piosenkę z kasyety efemerycznej grupy PRL z lat 90., na której można było usłyszeć: „Jej nikt nie chce wydymać. Ona tego nie może wytrzymać. I dlatego ciężko jej jest być na luzie”. Co z kolei rodzi pytanie, co z brakiem seksu u kobiet, w tym tych młodych i chętnych na igraszki. Czy dlatego, że ich frustracje nie powodują, że – jak w USA – chwytają one za karabiny automatyczne i nie strzelają do każdego, kto im się nawinie pod łufę?

Znam laski o dość przeciętnej urodzie, które wkurwiały się, że faceci molestują te ładniejsze, kształtniejsze, a one bardzo łaknęły odrobiny zainteresowania płci przeciwnej. Może to głupie – bo kluczowe jest, czy dane żarty lub spojrzanie w biust są chciane, czy wręcz przeciwnie – ale jakoś tam po ludzku rozumiały.

Inna rzecz, że znam przystojnych facetów, którzy spiąją tylko z mało urodziwymi kobietami. A niektórzy nawet mają w tych skłonnościach specyficzne wymagania, takie czy inne fetysze, np. minimum 100 kg żywej wagi partnerki, duży nos itd. Jak wyjaśnił mi to pewien kolega: kto wybrzydza, nie pierdoli. Brzydsze są znacznie lepsze w łóżku od ładnych. Zawsze dają z siebie wszystko, bo boją się, że to będzie ich ostatni raz!

Może to też jest prawda w drugą stronę?!

Na ratunek incelom

Uważam, że – mówiąc językiem Partii Razem – wyjścia z „kryzysu przegrywu” (analogicznie do nazywania bezdomnych osobami w „kryzysie bezdomności”), zwłaszcza dla kuców z Konfederacji, są generalnie trzy.

Po pierwsze, bycie gejem. I spotkanie się z innymi przegrywami na – jak mawiają na Podhalu – rżniętusek.

Po drugie, zostanie księdzem. To nie wyklucza opcji pierwszej, bycia gejem, rzecz jasna, ale daje wiele profitów. Jak wiadomo, z księdzem to nie grzech. Za sutanną panny bandą. W ostateczności z tacy jest kasa na nękanie kurwy i wzięcie czegoś mocnego, gdy nam nie staje – czego dokładnie, spytajcie klechów z Dąbrowy Górniczej!

Po trzecie, znalezienie kogoś rodem z piosenki „Brzydala” Domowych Melodii:

„A ja wolę brzydala, co brzydki jest jak noc. Byle mnie zadowalał w tym sensie mhm... no. A ja wolę brzydala, co krzywy ma nos. Bardzo ładna z nas para. Wystarczy Photoshop”.

KATARZYNA KOENIG

rozwoju kariery i światowej sławy gotowi są obrzucić własny naród wszelkimi kalumniami.

Marzena Nykiel, Wpolicitye.pl, 20 września

Całkowicie rozumiem Straż Graniczną, która wobec tego filmu użyła sloganu z czasów okupacji niemieckiej: „Tylko świnie siedzą w kinie”. Nagromadzenie hejtu, który strażnicy muszą znosić dzielnie, jest takie, że przy każdej scenie z naszymi mundurowymi coraz szerzej otwiera człowiek oczy i zastanawia się, co jeszcze zostanie im dopisane?! Po obejrzeniu „Zielonej granicy” czuję się, podobnie jak oni, kompletnie tym filmem uswiniiony.

Marcin Wikło, Wpolicitye.pl, 24 września

Jako społeczeństwo zaczęliśmy się wyzywać dzieci. Od IV stulecia na kontynencie europejskim małżeństwo cieszyło się stabilnością i nierozzerwalnością. W 1792 r. wprowadzono we Francji rozwody. Do 1920 r. w Związku Radzieckim, dopóki nie wprowadzono zabijania dzieci nienarodzonych, dziecko było świętością. W ciągu ponad 100 lat w Europie zabito od 500 do 600 mln dzieci nienarodzonych. Największe spustoszenie sieje antykoncepcja, która niszczy powstające życie albo nie dopuszcza do tego, aby ono powstało. To są skutki, które powodują, że tracimy niepodległość moralną i duchową. Do tego dochodzi deprawacja dzieci i młodzieży.

ks. prof. Krzysztof Bielawny, TV Trwam, 22 września

WYBRAŁ KLECHA

ETYKA BEZBOŻNA Moralne zdziczenie

Polska znów ma artystę światowego formatu. Agnieszka Holland stała się prawdziwą gwiazdą kina, dorównującą Andrzejowi Wajdzie i Krzysztofowi Kieślowskiemu. Chyba tylko Roman Polański jest jeszcze bardziej znany. Rozumni Polacy mają z tego radość, a nasze społecznie zaangażowane kino rozślawia Polskę nie tylko jako kraj wysokiej kultury, lecz również kraj wolny przynajmniej na tyle, że nadal jest w nim możliwe produkowanie filmów krytycznych wobec władzy. To ostatnie jest tak cenne, że nawet co bystrzejsze reżimy pozwalały na kontrolowaną krytykę, pragnąc uchodzić za mniej opresyjne niż w rzeczywistości. W tę grę grał z upodobaniem na przykład Stalin.

Nasi jednak nie są specjalnie lotni i nie zważając na dający się łatwo przewidzieć odwrotny do zamierzonego efekt, rozpętali przeciwko Agnieszce Holland i jej najnowszemu filmowi „Zielona granica” bezprzykładną agresywną i skrajnie niemoralną nagonkę, w której zniewagi i oszczerstwa sięgają nawet nieżyjącego od lat ojca artystki. Skala tej ordynarnej, udawanej hysterii jest zaiste bezprecedensowa, a to zapewne z powodu wyborów i wyborczego potencjału kryjącego się w sekowaniu zdradzieckiej antypolskiej Żydówki opluwającej polski mundur na niemieckie zamówienie. Każdy działacz i dygnitarz PiS, łącznie z samą wierzuszką, musi dokonać aktu publicznego potępienia filmu i jego autorki najlepiej w taki sposób, aby było

ku ksenofobicznego kraju, w którym władze okrutnie tępią imigrantów wyznających islam, służyło odwracaniu uwagi od masowego handlu polskimi wizami i wpuszczania do kraju setek tysięcy prawdziwych bądź fikcyjnych pracowników z krajów muzułmańskich. Zresztą mniejsza o przyczyny tego haniebnego draństwa. Push backi i będąca ich następstwem śmierć to fakty niepodlegające dyskusji. Każdy, kto opluwa dziś Agnieszke Holland, która nakręciła o tym film, doskonale wie, że wyrzucano ludzi do mokrego i zimnego lasu, gdzie umierali. Dlaczego więc napadają na Holland, skoro wiedzą, że mówi prawdę?

Tu właśnie docieramy do owego założenia, które ludzie ci przyjmują. A polega ono na przeświadczeniu, że jako wspólnota narodowa mamy prawo i obowiązek przemilczać i usprawiedliwiać postępowanie wojska – nawet takie, które bardzo głośno potępialibyśmy, gdyby to obcy żołnierze w analogiczny sposób krzywdzili naszych współobywateli. Dlaczego mamy takie prawo? Ano (prawdopodobnie) dlatego, że solidarność z własnym plemieniem, a więc z jego wojownikami, jest wyższym nakazem moralnym niż nakaz potępiania sadyzmu i zabójstw. Inaczej mówiąc, „Murem za polskim mundurem!” jest ważniejsze niż „Nie zabijaj!”. Właśnie dlatego, ilekroć wojsko jakiegos kraju idzie zabijać ludzi w innym kraju, wszyscy czują się w obowiązku, względnie są przymuszani nie



jasne, że filmu nie widział, bo przecież „tylko świnie siedzą w kinie”. Oczywiście ta odrażająca nagonka, oparta zresztą na czystych pomówieniach i kłamstwach na temat tego przepojonego moralną wrażliwością, bolesnego, a przede wszystkim opartego na faktach i świadectwach obrazu, może tylko przyczynić się (i bardzo dobrze!) do jego rozpropagowania w Polsce i na świecie. To jednak akurat jest pisowcom obojętne. Gorzej, że obojętny jest dla nich i ten drugi efekt ich agresji wobec Agnieszki Holland, jakim jest pójście w świat całkiem prawdziwej wieści, że polskie władze to nie tylko banda prostaków, lecz w dodatku gówniarzeria, która boi się filmu i gotowa jest angażować cały aparat państwa w jego rytualne potępienie.

Chamska nagonka sama przez się nie jest ciekawym tematem dla etyka. Niezwykle interesujące jest natomiast jej założenie, czyli to, co legło u jej podstaw. A jest to coś, na co nawet etyka nie ma nazwy. Za to psychologowie nazywają to wyparciem. Ja bym jednak poszukiwał jakiegos dosadniejszego określenia... Fakty są ogólnie znane. Z powodu szeroko stosowanych przez polskich pograniczników niemieckich push backów umarło z chorób i wycieńczenia co najmniej kilkanaście osób. Chodzi o osoby, które po przejściu granicy od strony Białorusi polscy pogranicznicy, łamiąc wszelkie prawa i zasady moralne oraz zachęcani do tego przez dowódców i ministrów, wywozili z powrotem do lasu, na białoruską stronę, i tam porzucali na pastwę losu i zbiorów Łukaszenki. Na dodatek wolontariusze niosący pomoc uchodźcom byli i nadal są przez służby przepędzani i szykanowani. Dlatego władze cywilne i wojskowe, a także sami żołnierze zachowują się w tak okrutny sposób, można się tylko domyślać. Afera wizowa każe nam podejrzewać, że budowanie wizerun-

tylko solidaryzować się z tym wojskiem, lecz ponadto głośno okazywać mu swoje poparcie. Gdy Niemcy szli na Polskę, wzruszony naród niemiecki „stał murem za niemieckim mundurem”. Ani agresywny charakter tej wojny, ani wieści o okrucieństwach popełnianych przez Wehrmacht nie były w stanie niczego tu zmienić. Nakaz czci dla wojska stoi ponad moralnym sprzeciwem wobec zabijania. A prawda nie liczy się wcale. Jeśli jest niewygodna, można zastosować wobec niej mały push back.

Bezmyślna plemienna stronnictwość ma w sobie żar i patos, które przypominają emocje towarzyszące refleksji moralnej i wynikające z moralnej wrażliwości. W taki właśnie sposób, groteskowy i przewrotny, pogarda dla ludzkiego życia, okrucieństwo i narcystyczna, tandenna duma przebiegają się w szatki moralności. To niewiarygodne, lecz ci sami, którzy lżą Agnieszke Holland, nie mając przy tym zamiaru negować faktu zbrodniczych push backów (nikt nawet nie próbuje ich negować), czynią to, powołując się na względy moralne. A dokładnie na jeden – rzekomo nadrzędny obowiązek solidaryzowania się z obrońcami ojczyzny. Jak określić to odwrócenie znaczeń, to sztyderstwo urągające wszelkiej moralności? Mnie przychodzi do głowy tylko jedno określenie: zdziczenie. Postawa całkowicie znieczulająca na krzywdę umierającej w lesie kobiety w ciąży i nakazująca bronić jej oprawców to postawa moralnego troglodyty, dzikusa, który jest nim na własne życzenie, a nie dlatego że wychował się w dziczy. Nie waham się powiedzieć, że ci, którzy plują na Holland, a więc i na ofiary okrucieństwa polskich i białoruskich żołnierzy, w odpowiednich warunkach są zdolni do wszystkiego. Do wszystkiego.

JAN HARTMAN

Smakosze fantasmagorii

Polska jest krajem nie mlekiem i miodem, ale mitami płynącym, a właściwiej byłoby napisać: tętnącym.

Ostatnio bardzo w modzie są dwa następujące: 1. Ukraińcy walczą i oddają życie za nas, inaczej Rosjanie byłiby już co najmniej w Zielonej Górze (ten mit po świecie roznoszą sami Ukraińcy, ale myślny go inkorporowali na własny użytek); 2. gdyby nie Polska, Ukraińcy w tej wojnie dostawaliby większe cięgi, bo myślny przerobili Rzeszów na hub, przez który dla walczącej Ukrainy płynie zaopatrzenie, w tym cenna nadzwyczaj broń, także darowana przez nas.

Ad 1. Ukraińcy walczą przede wszystkim za siebie i dla siebie. Zaatakowanie przez Rosję Polski byłoby i jest problematyczne ze względu na to, że należymy do NATO. Rosja zdecydowała się zaatakować i najechać Ukrainę (co jest oczywistym skurwysynstwem) właśnie z tego m.in. powodu, że nie chciała, aby Ukraina do tego paktu wdepnęła.

Ad 2. Gdybyśmy nie utworzyli w Rzeszowie hubu (z inicjatywy Wielkiego Brata z Waszyngtonu i na jego potrzeby), hub taki powstałby w Słowacji albo Rumunii. A Wielki Brat patrzyłby na nas krzywo.

...

Po wielu miesiącach wzajemnych cmoknięć, poklepywań, wymiany duserów, banałów i zapewnień o wiecznej przyjaźni i wzajemnym oddaniu pomiędzy polską racją stanu (czyli tym, że Kaczyński przed wyborami pragnie się podliznąć poważnej grupie wyborców PiS, jaką są rolnicy) a ukraińską racją stanu (czyli tym, że Zełenski pragnie się podliznąć z kolei swoim wyborcom, bo czeka go w 2024 r. bój o kolejną kadencję, a przede wszystkim ukraińskim oligarchom, właścicielom wielkich latyfundiów ziemskich, którzy mu ten bój sfinansują) – nastąpił lekki rozjazd, który wywołał nad Wisłą szok i niedowierzanie.

Dodatkowy szok wywołuje, że Kijów zaczyna orientować się na Berlin. Zełenski, występując na forum ONZ, postulował, aby Niemcy były stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa, i poczęstował je komplementem, że są „jednym z kluczowych gwarantów globalnego pokoju i bezpieczeństwa”. Nas zaś w tym samym wystąpieniu poczęstował opinią, że „niektórzy nasi przyjaciele w Europie [...] w rzeczywistości pomagają przygotowywać scenę dla moskiewskiego aktora”.

To, że Zełenski woli się ścisnąć z Scholzem niż z Dudą, jest – cytując klasyka – oczywistą oczywistością. To Niemcy są głównym partnerem USA w Europie, Niemcy mają największą gospodarkę w Europie, Niemcy będą decydowały o ewentualnym wpuszczeniu Ukrainy do Unii Europejskiej. Oburzać się na Zełenskigo? A o co? Pilnuje własnej miski.

...

Mnie ta cała historia niepomnie śmieszy. Śmieszy, ponieważ doskonale pamiętam to niebawale nabzdyczenie sprzed kilku miesięcy, to puchnięcie, tę megalomanię, ten zalew nacjonalizmu – jacy to my jesteśmy wspaniali i jacy to my z tej wspaniałości będziemy wielcy.

Prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz wyskoczył z deklaracją, że potrzeba nam utworzenia unii polsko-ukraińskiej. Wszak oba nasze narody mają 80 mln mieszkańców, tylu nas, ilu Niemców. A i wspólnie gospodarczo Niemiaszków przebijemy. Poparli go prezes kanapowego, choć szczipionego z PiS Porozumienia Jarosław Gowin, marszałek województwa dolnośląskiego Cezary Przybylski (związany z PO), poseł Nowej Lewicy Maciej Gdula oraz związany z PiS polityk Czesław Bielecki. Tak że od prawa do lewa.

O potrzebie powołania takiej unii rozpisywał się związany z PiS portal braci Karnowskich Wpolicityce.pl. Publicysta Karnowskich (związany także z think tankiem Jacka Bartosiaka) Marek Budzisz postulował utworzenie polsko-ukraińskiego państwa federacyjnego w ciągu najbliższych 10 lat.

Rząd Morawieckiego powołał pełnomocnika Rady Ministrów do spraw polsko-ukraińskiej współpracy rozwojowej.

Najbardziej śmieszy mnie jednak Rafał Ziemkiewicz, który na szybko wyprodukował książkę „Wielka Polska” i wygłaszał takie m.in. androny: „Polska stoi przed ogromnym wyzwaniem. To czas na to, by Polska zaważczyła o rolę regionalnego lidera i strategicznego partnera dla USA zamiast Niemiec”.

Tere-fere kuku.

Polska, co udowadnia raz po razie, nie jest w stanie prowadzić samodzielnej rozsądnej polityki zagranicznej. Oddajmy to Niemcom.

WALDEMAR KUCHANTY

Biskupi się popisują.

Świat według KEP-skich

Polski episkopat wykazuje ostatnio wzmogłą aktywność pisarską. Dla nich produkować tony makulatury to żaden problem. Cytatów z JP2 mają jeszcze na trzy pokolenia do przodu, więc nie trzeba się nawet specjalnie wysilać. Wystarczy wyszukać odpowiedni cytat z Wojtyły, a przecież on napisał wszystko o wszystkim.

Konferencja Episkopatu Polski (KEP) miała ostatnio dwa mocne strzały epistolarne. Pierwszy to szeroko komentowane „Stanowisko Zespołu Ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych w sprawie dopuszczalności aborcji w oparciu o przesłankę zdrowia psychicznego”, w którym – przy użyciu 8 tys. znaków – biskupi poinformowali, że Kościół kat. nie dopuszcza takiej możliwości. Biskupi umieją łąć wodę nie tylko święconą, ale i na piśmie.

Drugi dokument, który wzbudził powszechne zainteresowanie, to „Vademecum wyborcze katolika”. To wyczyn, bo zbitka „pismo biskupów” plus „zainteresowanie” rzadko chodzą w parze. Nawet wśród kleru i wiernych. Tzw. listy pasterskie, produkowane z różnych okazji przez KEP, to w przeważającej mierze taka nuda, że nawet księża ziewają przy ich czytaniu z ambony, a wierni liczą pióra na skrzydłach aniołków na obrazach lub zgadują, na czyj łeb spadłby zyrandol zawieszony pod sufitem świątyni. Wyprodukowanie zatem dwóch dzieł, które dyskutowane są w mediach, to sukces purpuratów. Wybory zmobilizowały ich do pracy.

„Vademecum wyborcze katolika” mogłoby posłużyć jako materiał zaliczeniowy na zadana rozprawkę pt. „Jak zachęcić do głosowania na PiS bez wymieniania nazwy »Prawo i Sprawiedliwość«”. Tak się akurat składa, że biskupi – oprócz zwyczajowych banałów o dobru wspólnym i obowiązkach obywatelskich – przedstawiają kryteria, które – niespodzianka! – pokrywają się z programem PiS. I to te, o których pisowcy najwięcej krzyczą.

Katolik nie jest od samodzielne-go myślenia i wybierania.

Kiedy więc idą wybory, to trzeba wier-nemu jak krowie na rowie wytłumaczyć,

co i jak. Biskupi, weterani demokracji, tłumaczą prostaczkom jej meandry jak komu dobru.

W końcu na karcie wyborczej stawia się krzyżyk, a kto się lepiej zna na krzy-żykach niż biskupi?

Zatem Polacy katolicy według wy-tycznych biskupów „opowiadają się bez-warunkowo po stronie prawa do życia



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

od poczęcia do naturalnego kresu, które to prawo stanowi fundament współzycia między ludźmi oraz istnienia wspólno-ty politycznej” i „z równą determinacją zabiegają o ochronę praw rodziny, opar-tej na monogamicznym małżeństwie osób przeciwnej płci. Uważają zatem za niedopuszczalne zrównanie z rodzi-ną innych form współzycia”. Postulaty żywcem wyjęte z ust pisowców. A to, że „stoją na straży zagwarantowania pry-matu rodziców w wychowaniu swoich dzieci”, to chyba sam Czarnek pisał albo przynajmniej dyktował.

Na uwagę zasługuje też fakt, że kato-liccy wyborcy „sprzeciwiają się budowa-niu świata »tak, jakby Boga nie było«”. W mniemaniu biskupów zapewne to, że ktoś uznaje, że Boga nie ma, jest rów-noznaczne z pozwoleniem na wszelkie przestępstwa i zbrodnie. Jeżeli katoli-kom potrzebny jest Bóg do tego, żeby

nie kraść, nie zabijać i nie gwałcić, to mamy dla nich i dla siebie złe wiadomo-ści. Oznacza to bowiem, że na co dzień obracamy się wśród potencjalnych mor-derców i złodziei, którzy łapy przy sobie trzymają tylko dzięki dość chwiejnemu i podważalnemu przekonaniu o istnie-niu gościa na chmurce. Strach pomyśleć, co takiemu odwali, gdy tę wiarę straci. I tacy ludzie nami rządzą.

Biskupi ewidentnie robią wszystko, by ich sojusznicy nie przegrali wyborów. Trudno nie odnieść wrażenia, że taśmowo produkują te swoje wynurzenia, żeby tym, którzy ich jeszcze słuchają, wbić do głowy matrycę, że mają głosować na „obrońców życia”. Ta sama strategia co w TVP. Po tysięcznym wysłuchaniu tego samego to i pies powtórzy. Wspomniane stanowisko na temat aborcji opublikowali przecież na prośbę Ministerstwa Zdrowia. Teraz „Va-demecum wyborcze”. A 8 października w kościołach w całej Polsce odczytany zo-stanie list na XXIII Dzień Papieski przy-padający zupełnie przypadkowo w dniu wyborów 15 października.

W liście pod intrygującym tytułem „Jan Paweł II – Cywilizacja życia” KEP przypomina: „Zadania ochrony i pro-mocji życia należą także do ustawodawców. Wprawdzie prawo nie jest jedynym narzędziem obrony ludzkiego życia, ale odgrywa istotną rolę w kształtowaniu sumień i relacji społecznych. Nie wystarczy jednak samo tylko zniesienie niegodzi-wych praw godzących bezpośrednio w prawo do życia. Należy także podejmować proro-dzinne działania spo-łeczne i prawodawcze w oparciu o nowe zasa-dy polityki w sferze pracy, rozwoju miast, budow-nictwa mieszkaniowego i usług, tak aby można było pogodzić rytm pracy z ryt-mem życia rodzinnego oraz zapewnić rzeczywistą opie-kę dzieciom i osobom w po-deszłym wieku”. Po takiej lekturze nawet najbardziej oporny będzie wiedział, kto w Polsce dba o rodzinę i jest wart katolickiego krzyżyka. List na 10 cytatów zawiera pięć z Wojtyły, więc na wybory wyto-czono najcięższe działa. Wiadomo, kto przeciwko świętemu papieżowi występował, a kto w sejmie paradował z jego podobizną.

Najśłynniejsze vademecum wybor-cze sformułował w 1991 r. abepe Józef Michalik, gdy stwierdził, że „katolik ma obowiązek głosować na katolika, chrze-ścijanin na chrześcijanina, muzułmanin na muzułmanina, żyd na żyda, mason na masona, komunistę na komunistę, każdy niech głosuje na tego, którego sumienie mu podpowiada”. Tak się jednak składa, że Żydzi, masoni ani cykliści nie krzyczą o swojej tożsamości na każdym kroku, a katolicy robią ze swojego katolicyzmu sztandar, jakby nic więcej do zaoferowa-nia nie mieli. Bo pewnie nie mają. A kato-licyzm to przepis na katastrofę, w któ-rej sobie wesoło trwamy przy wtórze li-stów episkopatu i śpiewu psalmów: „Pan miłuje prawo i sprawiedliwość”, „prawo i sprawiedliwość podstawą jego tronu”.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

W RAZIE WOJNY
NIE BOJĘ SIĘ
Z RUSKIMI BIĆ.
BOJĘ SIĘ Z NIMI
PIĆ!



Rys. WŁODEK

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Za walkę „o niepodległą Ukrainę przeciwko Rosji” uhonorowano w ka-nadyjskim parlamencie owacjami na stojąco żołnierza 14. Dywizji Grenadie-rów Waffen SS-Galizien 98-letniego Jarosława Hunkę. Wśród klaszczą-cych byli m.in. prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski i premier Kanady Justin Trudeau. Ciekawe, kto pierw-szy uhonoruje Adolfa Hitlera za walkę z Rosją o niepodległą Rzeszę.

★ Piotr Grochmalski cytuje w „Ga-zecie Polskiej” fragment książki autor-stwa swojego przełożonego Tomasza Sakiewicza: „Słabe militarnie państwo polskie dysponowało cenną bronią,

której siłę i znaczenie nie do końca samo rozumiało, bronią, która jest większym zagrożeniem dla Moskwy niż wojska amerykańskie na Starym Kontynencie. Jest nią zdolność poro-zumienia się z nierosyjskimi narodami Europy Wschodniej”. Najlepiej było to widać w latach 40. na Wołyniu.

★ Zbigniew Parafianowicz w ar-tykule o uroczym tytule „Towarzysz Płótnier. Kulisy przewerbowania Ze-łenskigo” pisze: „Zełenski wbija ostatni gwóźdź do trumny przyjaźni z Dudą. Polska szykuje symetryczną odpowiedź na czas po wyborach. Po ofensywie prezydenta Ukrainy

i »przejeździe« przez Lublin Kijów ma zerową wiarygodność w polskim rzą-dzie i w Pałacu Prezydenckim”. Na sąsiedniej stronie gazeta podaje, ile od Polski otrzymał partner o „zero-wej wiarygodności”: 14 samolotów MiG-29, 12 śmigłowców MiG-24, 280 czołgów T-72, 60 czołgów PT-91, 14 czołgów Leopard, 100 transpor-terów opancerzonych Rosomak, 300 bojowych wozów piechoty BWP-1, 18 armatohaubic Krab i 10 tys. karabinków Grot. Przekaza-nych nieodpłatnie i bezwarunkowo.

★ Na łamach „Rzeczpospolitej” Anna Kwiatkowska, ekspertka Ośro-dka Studiów Wschodnich, przekonuje, że „Ukraina może stać się dla Nie-miec nową Rosją, z którą współpraca

zapewni im przewagę w Europie”. Wi-dać już pierwsze efekty. Niemiecka gospodarka jako jedyna spośród du-żych gospodarek UE odnotuje w tym roku recesję – prognozuje Międzyna-rodowy Fundusz Walutowy.

★ Prawnicy z Global Rights Com-pliance (GRC) wspólnie z ukraińską prokuraturą chcą oskarżyć Rosję przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym o próbę wywołania głodu w Ukrainie – donosi „Gazeta Polska Co-dziennie”. Yousuf Khan z GRC jako nie-zbity dowód na nieczne zamiary Rosjan wskazuje zrzucenie 16 marca 2022 r. bomby na supermarket w Czernihowie.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

Wakat katechetyczny

Kościół przestaje udawać, że zależy mu na religii w szkołach.

Minister od edukacji Czarnek opowiada, że działania polegające „na wyrzucaniu religii ze szkół” to „program realizowany konsekwentnie przez świat lewicowy i lewacki w Europie i świecie Zachodu od kilku dziesięcioleci, który przynosi straszne żniwo”. Ponieważ to, co mówi minister, od lat pozwala wielu dziennikarzom mieć co pisać, to po kumotersku pomożemy Czarnekowi.

Duchownym się nie opłaca

Na początek postaramy się go wyprowadzić z błędu. Otóż największymi wyrzucaczami religii ze szkół nie jest żadna lewica, bo ta nie ma w Polsce nic do gadania od wielu lat. Religię ze szkół eliminują biskupi i podwładni Czarna. Tak ci w ministerstwie, jak i inni w kuratoriach. Bo to urzędnicy wypracowują siatki płac dla nauczycieli. Czarnek dostaje je tylko do podpisu. Ponieważ zarobki nauczycieli nie są zróżnicowane z punktu widzenia przedmiotu,

drowych, będą musieli wprowadzić w szkołach ograniczenia”.

Zgodnie z przepisami z 2020 r. nauka religii w przedszkolach i szkołach publicznych wszystkich typów sprowadza się do dwóch zajęć przedszkolnych lub dwóch godzin lekcyjnych tygodniowo. Ale „wymiar lekcji religii może być zmniejszony jedynie za zgodą biskupa diecezjalnego Kościoła katolickiego albo władz zwierzchnich pozostałych Kościołów i innych związków wyznaniowych”.

I biskupi bez żadnego problemu zgadzają się, żeby zamiast dwóch religii w tygodniu była tylko jedna. Jeśli zatem obcięcie o połowę uczenia o Bozi nie jest „wyrzucaniem religii ze szkół”, to czym jest?

Świeckim się nie chce

Przy okazji występów w mediach Tomasik pokazuje, że nie tylko on i biskupi mają gdzieś religię w szkołach. Tak samo ma reszta polskich duchownych. Jak inaczej zrozumieć wypowiedź Tomasika, że „potrzeba dziś przede wszystkim katechetów świeckich”? Tacy zaś wychodzą po skończeniu studiów teologicznych. Czarnek ma pod sobą i uczelnie. Teologia jest na podległych mu świeckich

szkołach wyższych, takich jak Uniwersytet Śląski w Katowicach, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Opolski i Szczeciński. No i Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu. Widać władze tych uczelni szkolić katechetów nie chcą. Gdyby było inaczej, to na studia teologiczne młodzi ludzie by szli masowo. A nie tak jak teraz, gdy chętnych jest ledwie na połowę przygotowanych na teologiach miejsc. Ale rektorzy mają widać swojego ministra gdzieś. A mogliby przecież w czasie rekrutacji ogłosić, że na zajęcia teologii nie trzeba chodzić, a dyplom uczelni przśle pocztą. Wtedy chętni by się pewnie znaleźli.

Przepisy zakładają, że katecheta musi mieć wykształcenie teologiczne. Choćby nawet poddyplomowe. Ba, moc tych samych przepisów w odniesieniu do księży zakonników i zakonnic jest nawet rażąca. Oni mogą uczyć religii w państwowych szkołach de facto dlatego, że są duchownymi.

A rodzice tylko do komunii

Najbardziej przerażane ma Czarnek u uczniów i ich rodziców. Oni nie boją się „straszego żniwa” i po prostu zajęcia z religii olewają. Z roku na rok coraz bardziej.

W 2010 r. udział w lekcjach religii deklarowało 93 proc. polskich uczniów w wieku 17–19 lat. Dziś jest ich tylko 54 proc.

W podstawówkach jest inaczej.

Do czasu komunii frekwencja na religii sięga w kraju średnio 95 proc. I to ona jest podawana przez oficjalne instytucje Kościoła i resortu edukacji jako frekwencja w podstawówkach. Tymczasem

po komunii udział dzieci w zajęciach z religii zaczyna spadać. Na koniec podstawówki sięga przeciętnie niespełna 70 proc.

I ty zostań katechetą

Nauczyciel religii musi mieć dyplom ukończenia teologii. Podyplomowo również. Jak się ma taki papier, jest z górki. Tyle że przed rozpoczęciem starań o pracę w charakterze nauczyciela lub nauczycielki religii trzeba uzyskać tak zwaną misję kanoniczną. Jest to imienne skierowanie do nauczania religii w danej szkole lub przedszkolu, które wydaje odpowiedni miejscowo biskup diecezjalny lub upoważniony przez niego urzędnik kurii.

Aby uzyskać takie skierowanie, należy złożyć w Wydziale Katechetycznym Kurii stosowną prośbę, do której trzeba dołączyć poświadczenie kwalifikacji i CV. Konieczne jest również uzyskanie akceptacji proboszcza i potwierdzenie tego odpowiednią adnotacją i pieczęcią parafii. Jak się ma placet biskupi, nie ma w Polsce dyrektora szkoły, który odmówiłby przyjęcia do roboty. Złożenie podpisu pod umową o pracę przez dyrektora powoduje, że zostaje się katechetą, czyli nauczycielem. Z takimi samymi prawami jak osoby uczące polskiego, matematyki czy historii.

Nauczyciela religii od reszty grona pedagogicznego odróżnia jednak to, że katecheta musi prowadzić życie zgodne z nauką Kościoła katolickiego. Osobie, która łamie zasady określone w doktrynie Kościoła, biskup może cofnąć misję kanoniczną, co wiąże się z utratą stanowiska pracy. Może się tak stać na przykład w przypadku rozwodu i życia w związku pozamałżeńskim.

Oczywiście opisana powyżej ścieżka dotyczy jedynie osób świeckich. Księża i zakonnice są ponad to wszystko.

TJ

Od roku 2010 spadek wyniósł prawie jedną czwartą.

W Warszawie wygląda to dla Czarnka całkiem niefajnie. W stołecznych podstawówkach na religię chadza około 50 proc. uczniów, a w szkołach średnich – 26 proc.

Na wszystkich polskich katechetów co roku państwo wydaje ok. 2 mld zł. Etatów jest dokładnie tyle, ile wtedy, gdy uczniowie chodzili na religię masowo. W Warszawie w 2020 r. na wypłaty dla nauczycieli religii poszło 48 mln zł. W 2022 r. koszt ich wynagrodzeń skoczył do 52,4 mln zł. Przeciętny stołeczny katecheta zarabiał w zeszłym roku miesięcznie 6 tys. zł. Wydatki stolicy wzrosły, choć w ciągu tych dwóch lat liczba etatów dla katechetów spadła z 776 do 728. W tym roku przeciętna płaca brutto katechety powinna wynieść ok. 7 tys. zł. Za siedzenie w klasie, w której prawie nie ma uczniów, to chyba nie najgorzej? I to wcale nie tylko z punktu widzenia resortu edukacji.

Przemysław Czarnek jest sabotowany przez biskupów, księży i zakonnice, rektorów, własnych urzędników oraz rodziców i uczniów. Po co się tak szarpać, panie ministrze? Nie lepiej przelać parę milionów ministerialnego grantu dla jakiejś założonej przez szwagra czy wujka fundacji i żyć długo a bezstresowo?

TADEUSZ JASIŃSKI

WIARA CZYNI CZUBA

1. Benjamin i Shaantal Garlickowie to para wędrownych kaznodziejów, którzy podróżują po Stanach wraz z szóstką dzieci, głosząc słowo Boże. Bóg regularnie dostarcza im pojazdy wedle przedstawionej przez nich specyfikacji. Benjamin opowiada: „Moja żona została nauczona, aby modlić się konkretnie. Modliła się o minivana z całym potrzebnym wyposażeniem. Zapytałem ją, skąd weźmie na to pieniądze, a ona odpowiedziała: »Od Boga«. Kilka tygodni później Bóg zapłacił za vana zgodnie z modlitwą mojej żony”. Tamten van ma już na liczniku ponad pół miliona kilometrów, więc obecnie Garlickowie wymodlili nowy, tylko jeszcze trzeba za niego zapłacić, na co ogłosili zbiórkę internetową. Przy okazji wyszło na jaw, że postawiono im w sumie 12 zarzutów dotyczących gwałtu na nieletnich poniżej lat 13. Teraz wiemy, po co im taki duży samochód.

2. Buddyjskie mniszki z klasztoru Druk Amitabha w Nepalu od 2008 r., kiedy w klasztorze było włamanie, wzbogaciły swój duchowy rozwój o naukę kung-fu. 800 kobiet z ogolonymi głowami codziennie – z wyjątkiem niedziel – od trzeciej rano ćwiczy sztuki walki, wśród których szczególną popularnością cieszy się walka czerwonym wachlarzem wyposażonym w brzytwę, zwanym *gongfu shan*. Mniszki walczą też mieczami, maczetami i dzidami, potrafią łamać cegły ręką, udzielają tubylcom – zwłaszcza kobietom – lekcji samoobrony, remontują drogi wokół klasztoru, prowadzą zakład ziołolecznicy i ratują ranne zwierzęta. Zakonnice kung-fu głoszą „pokój, równość płci, sprawność fizyczną, życie w zgodzie z naturą i szacunek dla wszystkich żywych istot”.

3. Były biskup australijskiej diecezji Broome Christopher Saunders jest oskarżony o molestowanie aborygeńskich dzieci. Wiosną 2021 r. australijska policja po dwóch latach dochodzenia zrezygnowała z postawienia mu zarzutów w tej sprawie. Mimo to Watykan wymusił na nim dymisję, po czym przeprowadził własne śledztwo. W jego wyniku zidentyfikowano co najmniej 67 ofiar. Watykański raport wykazał, że Saunders organizował imprezy bunga bunga w swojej biskupiej rezydencji w Broome, a także wydał tysiące dolarów z księcielnej kasy na telefony komórkowe, alkohol i papierosy. Najdziwniejszy w całej historii jest fakt, iż Watykan przekazał swój raport australijskiej policji. Obecny biskup Broome Michael Morrissey zachęcił wszystkie ofiary do zgłaszania się na policję i zapowiedział, że Kościół będzie z nią współpracował.

4. W ramach ogłoszonego przez papieża Franciszka synodu o synodalności w październiku w Rzymie odbędzie się szereg spotkań i narad, w tym jedna dysydencka. Konsorcjum 45 proreformatorskich organizacji katolickich poprowadzi własny synod zatytułowany „Duch bezgraniczny”. Wystąpi na nim była prezydent Irlandii Mary McAleese, która uważa, że „przyszła pora” na Franciszka i jego kardynałów oraz biskupów. „Czas, żeby zrobili coś więcej niż to cyniczne ćwiczenie kopania puszek w dół drogi” – mówi McAleese. Zasadniczą zmianą, jakiej domaga się alternatywny kongres, jest wyświęcanie kobiet na księży. Podziwiając odwagę pani McAleese i innych zbuntowanych świeckich, za cholerę nie rozumiemy, dlaczego jakakolwiek postępową kobietą chciałaby zostać księdzem katolickim.

5. Peruwiarzscy obrońcy życia są oburzeni aborcją przeprowadzoną u 11-latkii gwałconej przez ojczyma od szóstego roku życia. To drugi taki przypadek w ostatnich miesiącach – pierwsza była 13-letnia ofiara gwałtu kazirodczego, której odmówiono aborcji, a potem skazano ją na dwa lata za nielegalne przerwanie ciąży (wyszła z więzienia po roku w wyniku apelacji). Carlos Polo, dyrektor lokalnej filii antyaborcyjnego Instytutu Badań nad Populacją, straszy: „To nie przypadek, że kilka podobnych sytuacji pojawia się w krótkim czasie. To element taktycznego planu rozszerzenia legalnej aborcji »terapię psychiczną« na przypadki gwałtu, aborcji dla nieletnich, wrodzonych deformacji płodu i zdrowia psychicznego”. Wtórąją mu biskupi: „W takie sytuacje zaangażowane są trzy osoby: gwałciciel, ofiara i niewinna osoba. To ona została skazana na śmierć”.

R E K L A M A

MARCIN DUMA
CZEGO SIĘ BOI PIŚ?

PROF. PAWEŁ KACZMARCZYK
PRZESPALIŚMY DYSKUSJĘ O MIGRACJI

PLATERÓWKI
W POWSTANIU WARSZAWSKIM

NIK: KIEROWCY
FATALNIE SZKOLENI

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

MARCIN DUMA
CZEGO SIĘ BOI PIŚ?

PROF. PAWEŁ KACZMARCZYK
PRZESPALIŚMY DYSKUSJĘ O MIGRACJI

PLATERÓWKI
W POWSTANIU WARSZAWSKIM

NIK: KIEROWCY
FATALNIE SZKOLENI

Prof. Jerzy Bralczyk

JĘZYK POLSKI
W CZASACH
ZARAZY
POLITYCZNEJ

Wrzesień obfituje w Polsce w traumatyczne rocznice. Dwie z 1939 r. szczególnie: napaść Rzeszy hitlerowskiej i zarazem początek II wojny światowej, agresja Związku Radzieckiego i zagarnięcie przezeń Kresów Wschodnich, a w 1934 r. kapitulacja powstania warszawskiego. Jak to w Polsce, celebrujemy te rocznice inaczej niż na świecie. Wszędzie świętują raczej rocznice końca wojny i zwycięskie zrywy, u nas – odwrotnie: czcimy początek wojny i przegrane powstania. Ponadto rocznice te obrosły legendami i zakłamaniami. Im dalej od tych zdarzeń, tym mniej o nich prawdy w rocznicowych celebracjach. Szczególnie dotyczy to 1 i 17 września.

Tegoroczne obchody były pod tym względem rekordy. Od lat zresztą te dwie daty w rocznicowym przekazie rywalizują. Stopniowo rocznica inwazji radzieckiej bierze górę nad tą niemiecką. Ponadto wpływ aktualnej polityki obozu rządzącego, zawsze silny, w tym roku przekroczył wszystkie granice. Propaganda polityczna pożarła rzeczywistość historyczną do cna.

Ponieważ zbliżają się wybory, to PiS Jarosława Kaczyńskiego, walczący na noże z PO Donalda Tuska, usiłuje temu drugiemu dorobić gębę potrójnego agenta wpływu Berlina i Brukseli z jednej strony, a Moskwy – z drugiej. Dlatego dzisiejszym Niemcom w rocznicowych celebracjach dostało się dużo mocniej niż jeszcze niedawno. Pokoleniu, które z hitlerowską przeszłością rozliczało się bardzo zdecydowanie, przypisano pełnię odpowiedzialności za nią, szczególnie wobec Polski. Wystawiono mu horrendalny rachunek za rzekomo niepowetowane nawet w części straty i krzywdy wyrządzone w czasie wojny, a teraz oszacowane przez posła Mularczyka na półtora biliona dolarów.

17 września Niemcy zesłali jednak na drugi plan. Rosja, rozpętlając wojnę sukcesyjną o podporządkowanie Ukrainy, okazała się dużo poręczniejszym chłopcem do bicia. Sięgnięto zatem w rachunku krzywd do arsenału wszystkich historycznych zaszłości czasu wojny, tej gorącej i tej zimnej. Prawda historyczna – i tak bardzo Rosję obciążająca – ustąpiła miejsca legendom i zmyśleniom. Odpucowane i przyprawione nowymi emocjami będą teraz na długo zaśmiecać społeczną świadomość. Kilku z tych legend warto przyjrzeć się bliżej.

1

Legenda pierwsza – o nożu w plecy. Rzekomo 17 września 1939 r. polskie wojska miały jeszcze wszystkie szanse wycofania się zgodnie z planem marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego na „rumuńskie przedmoście”, czyli do województw stanisławowskiego, lwowskiego i tarnopolskiego, aby tam skutecznie się bronić aż do rychłej odsieczy francusko-brytyjskiej. Niestety, to zmyślenie – takich szans nie było. Z kilku powodów. Andrzej Leon Sowa, autor książki „Kto wydał wyrok na miasto?”, na podstawie wojskowych źródeł niemieckich i polskich ustalił, że 16 września zagonom pancernym Wehrmachtu w rejonie Włodawy nad Bugiem pozostawało tylko kilka kilometrów do zamknięcia okrążenia wszystkich jeszcze walczących formacji polskich i pozbawienia ich szansy wycofania się ku temu przedmościu. Ponadto naczelne dowództwo wojsk francusko-brytyjskich 12 września uznało, że działania wojenne w Polsce dobiegają końca i operację ofensywną z Zachodu, wciąż jeszcze daleką od gotowości, należy odłożyć do wiosny 1940 r. Los Polski w ich opinii zostanie rozstrzygnięty pomyślnie, ale w ramach końcowego zwycięstwa w wojnie. Rydz-Śmigły, świadom tej sytuacji, nie zalecił podległym wojskom stawiania oporu armii radzieckiej. Nie widział w tym już wojskowego sensu. „Z Sowietami nie walczymy” – głosił jego ostatni rozkaz przed ewakuacją do Rumunii. Zależało mu już wyłącznie na wycofaniu na Zachód maksymalnie dużej liczby żołnierzy, aby zachować realną możliwość uczestnictwa w wojnie.

Oficjalna opowieść o wrześniu 1939 r. pomija ważną część prawdy: nie wypowiedział Rydz-Śmigły wojny agresorom ze Wschodu również pod wpływem wyraźnych żądań aliantów. Lekceważenie ich sugestii w rozpaczliwej sytuacji,

Wrzesień miesiącem legend.

Wrogowie dwaj

w jakiej Polska się znalazła, było nie do pomyślenia. Stanowisko rządu francuskiego i zwłaszcza brytyjskiego było podyktowane wnikliwą analizą polityki radzieckiej. Miały w tej kwestii dużo lepszą od polskiej orientację i więcej czasu do namysłu, znaly w szczególności protokół dodatkowy do układu Ribbentrop-Mołotow od dnia jego podpisania. Od początku Francuzi i Brytyjczycy żywili przekonanie, że porozumienie Hitlera ze Stalinem ma charakter czasowy i krótkotrwały oraz zakończy się konfliktem.

Dlatego unikali zaostreżeń we własnych stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Najdobitniej dawał temu publicznie wyraz już we wrześniu Winston Churchill, jeszcze nie premier, ale wpływowy członek brytyjskiego *war cabinet* na stanowisku pierwszego lorda Admiralicji. Z licznych jego ówczesnych wypowiedzi przytoczmy najdobitniejszą: „Rosjanie stanęli na linii, na której powinni byli stanąć.

Szkoda tylko, że jako przeciwnik Polski, a nie jej niepewny, ale sojusznik. Choć w gruncie rzeczy to nie taka wielka różnica”. Warto zwrócić uwagę na to: „powinni byli stanąć”. Dla Churchilla, który był członkiem rządu brytyjskiego również w 1919 r., kiedy jego ówczesny kolega lord George Curzon zaproponował podczas konferencji paryskiej linie wschodniej granicy Polski na Bugu, była to trafna propozycja na całe życie – chętnie do niej powrócił w 1939 r. Z większą otwartością, wręcz brutalnie, wypowiadał się w tej sprawie David Lloyd George, sędziwy, ale szanowany były premier z czasów I wojny światowej. Przywódcy mocarstw zachodnich się nie mylili. Dla nich to nie był cios w plecy. Upłynęły niespełna dwa lata i przymierze Hitler-Stalin przestało istnieć.

2

Legenda druga – w rocznicę 17 września oficjalna propaganda

z większą jeszcze niż w latach poprzednich natarcywością lansowała tezę o szczególnym, znacznie większym od niemieckiego zagrożeniu egzystencjalnym Polski ze strony Rosji. W tym roku „Wiadomości” TVP z 17 września, powołując się na zbrodnię katyńską i masowe wywózki, wieściły nawet zagrożenie samego istnienia narodu polskiego. W obecnej sytuacji można oczywiście Rosji bezkarnie przypisać wszystko, co nieczne, ale zbytnie zniekształcanie prawdy historycznej, nawet w zacnej intencji, zawsze jest szkodliwe dla kultury politycznej zniekształcającego.

Prawda w tej kwestii rysuje się też inaczej. Mord katyński i masowe wywózki to ohydne zbrodnie wojenne karane w prawie międzynarodowym tak jak ludobójstwo, ale jednak z ludobójstwem nierównoznaczne. W 2009 r. IPN opublikował pod redakcją Wojciecha Materskiego i Tomasza Szaroty wyniki programu badawczego o polskich stratach ludzkich w latach 1939–1945. Według tego opracowania, wciąż klasycznego, polska populacja etniczna w granicach II RP szacowana u progu wojny na 23 mln (64 proc. całej ludności) poniosła z rąk lub za sprawą niemieckiego okupanta straty bezpowrotne 2 mln 770 tys. osób. W tym 600 tys. w związku z bezpośrednimi działaniami wojennymi, a ponad 2 mln w wyniku rozlicznych prześladowań i eksterminacji. Straty z rąk radzieckich w wymienionym badaniu oszacowano na 150 tys., czyli nieco powyżej 5 proc. strat ogólnych.

Zresztą przez dwie trzecie okupacji całe terytorium przedwojenne Polski znajdowało się w niemieckim władaniu. Kresy Wschodnie z czteromilionową populacją etnicznie polską pozostawały pod władzą radziecką tylko przez dwa lata wojny. Z rąk lub za sprawą niemieckiego okupanta zginęło zatem 12 proc. polskiej populacji etnicznej, w większości mężczyzn. Takie straty oznaczały już zagrożenie dla biologicznego przetrwania narodu. Większe straty w czasie tej wojny poniosła tylko społeczność żydowska, a porównywalne – białoruska i serbska.

Dla porównania sięgnijmy do innych jeszcze danych. W czasie II RP etniczna ludność polska w granicach

państwa wzrosła z 18 mln w 1921 r. do 21 mln w 1938 r., czyli o 17 proc. W Polsce Ludowej, która według opinii polskiej prawicy pozostawała pod radziecką okupacją – z 24 mln w 1950 r. (po zakończeniu ruchów repatriacyjnych) do 37 mln w 1988 r., czyli o 13 mln (55 proc.). W ciągu zaś następnych 33 lat już w pełni suwerennej Polski zaledwie o 1 mln, czyli niespełna 3 proc. Tak to wyglądał rzeczywisty rozwój narodu polskiego pod sowiecką okupacją. Swoją drogą białaluki oblogicznym zagrożeniu Polski ze strony radzieckiej opowiadają w rządowej telewizji młodzi ludzie po studiach, obyci z rocznikiem statystycznym. Kłamią z zamiłowania lub wyrachowania.

3

Inną jeszcze legendę usłyszymy w rocznicę kapitulacji powstania warszawskiego. Dowiemy się, że o bohaterstwie tego powstania najlepiej świadczy to, że słabo uzbrojeni powstańcy przez 63 dni stawiali opór potężnej Wehrmachtu. W rzeczywistości powstanie przeciągnęło się na dwa miesiące dlatego, że Niemcy zwlekali z jego dławieniem. Nie skierowali do walki z nim żadnej frontowej jednostki, lecz zbieraninę policyjną słynną z okrucieństwa, a nie z bitności. Utrzymywanie się powstania tak długo jedynie powiększało cierpienia i straty ludności Warszawy. Najrozsądniej postąpił dowódca powstania na Pradze. Gdy zorientował się, że cele wojskowe i polityczne powstania są nieosiągalne, rozwiązał je po sześciu dniach. Ocalił Pragę i jej mieszkańców.

Cała oficjalna opowieść o II wojnie światowej w rocznice wrześniowe ma w podtekście cel dodatkowy: usprawiedliwia politykę dwóch wrogów, jakich według rządu emigracyjnego miała w czasie tej wojny Polska: Niem-

cy hitlerowskie i stalinowski ZSRR, z których w miarę zbliżania się końca wojny ten drugi wysuwał się na plan pierwszy, gdyż stawał się silniejszy. Nie było w tej narracji nawet cienia krytyki tej polityki ani też zrozumienia stanowiska aliantów anglosaskich zdecydowanie ją odradzających. Winston Churchill usilnie nakłaniał zarówno Władysława Sikorskiego, jak i później Stanisława Mikołajczyka do rezygnacji z Kresów Wschodnich z dwóch powodów: dlatego, że były one zaludnione w większości przez mniejszości narodowe oraz że były przez Polskę nie do odzyskania niezależnie od wyniku wojny. Natomiast rezygnacja z tego spornego z ZSRR terytorium otwierałaby drogę do wynegocjowania – przy poparciu mocarstw zachodnich – granicy dla Polski korzystniejszej niż linia Ribbentrop-Mołotow. Nawet z Lwowem i zagłębieniem naftowym wokół Drohobycza. Pozwalałaby też uniknąć dramatu powstania warszawskiego oraz gehenny AK w konfrontacji z wkraczającą do Polski Armią Czerwoną. Stalin w latach 1941–1943 poszukiwał polityków polskich proweniencji niekomunistycznej skłonnych do rezygnacji z Kresów i mimo to do współpracy z ZSRR. Kokietował zarówno generała Andersa, jak i premiera Mikołajczyka. Bez skutku. Dopiero w 1944 r., gdy jego armie już były w Polsce, postawił na polsko-żydowskich komunistów, których nie lubił i którym nie ufał.

4

Zauroczenie ekspansją na Wschód było piętą achillesową polityki Polski od wieków. W Rzeczpospolitej szlacheckiej po unii lubelskiej spowodowało wynaturzenie kolonizacyjne oraz destrukcję państwa, a w konsekwencji jego niezdolność do stawienia czoła zaborczym planom mocarstw ościennych. Według Jana Sowy („Fantomowe ciało króla”) wraz z ekspansją systemu elekcyjnego i całkowitym ubezwłasnowolnieniem króla państwo polsko-litewskie przestało istnieć, pozostał tylko jego pozór. Władza realna znalazła się w ręku swoistej kompanii magnacko-szlacheckiej dla kolonialnej eksploatacji Ukrainy.

Analogicznie zauroczenie po 1918 r. polityki polskiej Kresami Wschodnimi wprowadziło ją w czasie II wojny światowej w ślepy zaułek i spowodowało izolację rządu emigracyjnego w obozie alianckim, a w konsekwencji przejęcie steru spraw polskich bezpośrednio przez anglosaskich sojuszników. Szczęśliwy przypadek spowodował, że mimo to Polska w najważniejszej kwestii, terytorialnej, wyszła z wojny jako główny beneficjent klęski Niemiec. A zachowanie odrębności państwowej, mimo zależności od ZSRR, pozwoliło Władysławowi Gomułce w 1956 r. wykorzystać radziecki kryzys sukcesyjny po śmierci Stalina do odzyskania części szans na autonomię, zmarnowanych przez rząd emigracyjny w czasie wojny. Oczywiście te skądinąd

najpoważniejsze kwestie polskiej wojennej i powojennej historii są dziś nieobecne w historyczno-politycznej opowieści rządzącej formacji posolidarnościowej. Zostały zastąpione wprowadzającymi w błąd i ogłupiającymi legendami.

Gorzej nawet: z doświadczeń i niepowodzeń wojennej polityki rządu na wychodźstwie nie wyciągnięto wniosków, nauka poszła w las. Rządząca dziś prawica populistyczna z uporem brnie w nową politykę dwóch wrogów: rzeczywście nieprzyjaznej Polsce Rosji putinowskiej, jak też sprzymierzonych z Polską Niemiec (i Unii Europejskiej), sojuszników, którym wiele zawdzięczamy. Rokowania tego wydania polityki dwóch wrogów nie są lepsze niż poprzednio.

M.Z.

Od Petersburga do Konstancina

czyli skąd wziął się „Sportek” w tygodniku „NIE”.

Z moim „Sportkiem” czuję się na łamach tygodnika „NIE” trochę tak, jak posłowie Janusz Kowalski czy Grzegorz Braun poczuliby się w nowojorskim klubie dla gejów, czyli trochę nie na swoim miejscu.

Powszechnie znany jest stosunek Jerzego Urbana do sportu. Powiedzieć, że go nie lubił, to mało. Szef sportu po prostu nienawidził. Dawał temu wyraz w felietonach, a ja czasem zastanawiałem się, dlaczego Jurek sport moralnie stawiał na równi z hipokryzją polityków czy zakłamaniem świętoszków. Na pewno nie wynikało to z jakichś kompleksów, bo Urban żadnych kompleksów nie miał. Poważnie na ten temat nigdy nie rozmawialiśmy. Bałbym się jakiegokolwiek intelektualnej rozmowy, bo górował nade mną wiedzą, rozumem i błyskotliwością konwersacji tak bardzo, że załatwiłby mnie niczym słynny Mike Tyson załatwiał swoich rywali w ringu. Nawiasem mówiąc, nie wiem, czy ten erudyta wiedział, kim jest Mike Tyson.

Kopiąc w ikonę

Wymyślony i prowadzony przez Niego tygodnik przez lata obywatł się bez rubryki sportowej do czasu, aż pojawiłem się ja. „Sportek” (nazwę wymyśliła Małgosia Daniszewska z połączenia słów „sport” i Wojtek”) nie był moim debiutem na łamach „NIE”. Zaczynałem od innych tematów.

Mieszkalem wówczas w Petersburgu. Pisywałem z Rosji korespondencje do polskiej prasy lewicowej, do „NIE” oczywiście także. Najbardziej pamiętam reportaż z targów przedmiotów sakralnych, na które moja żona wybrała się ze względów zawodowych (jest historyczką sztuki). Nie mogłem przepuścić takiej okazji i pojechałem z nią. Rzeczywiście, ubawiłem się świetnie.

W religii prawosławnej szczególne miejsce zajmują ikony. Podczas targów cerkwie otworzyły stoiska, na których można było – ma się rozumieć za odpowiednią opłatą – zapalić świeczkę i ucałować święty obraz. Ikony miały pomagać na konkretne choroby. Ponieważ między wizytami pacjentów ikon nie dezynfekowano, nie przecierano nawet choćby szmatką, w mojej relacji zauważyłem, że prędzej wierny zarazi się owsikami, niż wyleczy się z bólu kręgosłupa czy z kamieni nerkowych.

19 stycznia prawosławni obchodzą dzień Chrztu Pańskiego. To także był wdzięczny temat do reportażu. Opisywałem kolejki przed cerkwiami. Ludzie z przeróżnymi naczyniami, nawet z potężnymi kanistrami, zaopatrywali się w święconą wodę na cały rok. W pamięci utkwiła mi krótka wymiana zdań z popem z cerkwi znajdującej się tuż obok naszego mieszkania: „Czy ta święcona woda naprawdę pomaga?” – zapytałem. „Gdyby nie pomagała, ludzie nie staliby w kolejce” – usłyszałem w odpowiedzi.

Nie mogłem sobie oczywiście darować opisu zwyczajn zanurzania się wiernych w przereźbłu, bo tak się złożyło, że ten nieszczęsny Chrztst Pański przypada w najzimniejszym w Rosji miesiącu. Ma coś wspólnego z popularnym u nas morsowaniem. Jednym słowem, na łamach „NIE” dworowałem sobie najczęściej z religii, a w przeciwieństwie do sportu z Naczelnym mieliśmy na ten temat podobne poglądy. Rzadko pisałem o polityce. Szkoda, bo w tym czasie prezydent Władimir Władimirowicz Putin zaczynał umacniać swoją władzę i wykonywał posunięcia, które później zaczął wprowadzać Jarosław Kaczyński w naszym kraju. Zaczął od zagarnięcia Sądu Konstytucyjnego (odpowiednik

naszego Trybunału Konstytucyjnego), nawet przeniósł jego siedzibę z Moskwy do Sankt Petersburga, bo w początkach rządzenia w rodzinnym mieście czuł się pewniejszy.

Sojusz państwa z Kościołem rozkwitał. Oczywiście w nowej siedzibie Sądu Konstytucyjnego postanowiono urządzić cerkiew, a moja żona podłapała chałturę polegającą na jej urządzeniu. Nie zachwyciło mnie to, bo w naszym przedpokoju wyładował na jakiś czas ikonostas i łażąc w nocy do ubikacji, boleśnie uderzałem się bosą

stopą o ikonę Matki Bożej. Wszystko to opisywałem w swoich korespondencjach.

W Putinowskiej Rosji zaczęły się ataki na wolne media, na osoby LGBT, przemówienia o wielkiej suwerennej Rosji. Szczególny nacisk kładziono na wartości rodzinne i na oświatę w duchu chrześcijańskim. Widziałem to, relacjonowałem, ale – jak to głupkowaty dziennikarz sportowy – nie zauważyłem, że wszystko układa się w jedną całość, taką jaką widzimy teraz w Polsce Kaczyńskiego. Odnoszę wrażenie, że Kaczyńskiego od Putina różni dzisiaj tylko stosunek do napaści na Ukrainę, choć i to w kampanii wyborczej zaczyna się zmieniać.

Grypsując z Daniszewską

Blżej z Jerzym Urbanem poznaliśmy się, a nawet przeszliśmy na ty, co bardzo mi imponowało, za sprawą Małgosi Daniszewskiej. Z Małgosią kumpluję się – aż strach to zdradzić – od 1969 r. W rok po buncie studentów partyjne władze postanowiły wpłynąć na morale żaków, wzmacniając sojusz akademików z klasą pracującą fizycznie, i dlatego wprowadzono obowiązkowe miesięczne praktyki robotnicze. Z Małgosią wyładowaliśmy w Działdowie, gdzie przydzielono nas do budowy bocznic kolejowej. Jeśli chodzi o sojusze, to mogliśmy się zaprzyjaźnić ze skazańcami, których na mocy amnestii właśnie wypuszczono na wolność i skierowano na tę samą bocznicę co nas. Było we-soło i sympatybnie. Nauczyl nas takich słów jak „cwel”, „klawisz”, „białko”, a także porozumiewania się za pomocą gestów grypsery. Młode mózgi chętnie chłoną wiedzę.

Jeszcze nie tak dawno zastanawialiśmy się z Małgosią, czy pociągi wykolejąją się na bocznicę, którą budowaliśmy. Ja sugerowałem, że być może włączona ona zostanie do słynnego projektu CPK jako jedna ze szprych kolei wielkich prędkości.

Na Uniwersytecie Warszawskim dość często się spotykaliśmy, bo budynki wydziału prawa (Małgosia) i polonistyki (ja) sąsiadowały ze sobą, na dodatek pierwszy mąż Małgosi, Mikołaj, był moim kolegą z klasy w liceum ogólnokształcącym. Nawiasem mówiąc, z Mikołajem lepszy kontakt miałem, gdy został mężem Małgosi, bo

w szkole, choć chodziliśmy do jednej klasy, należeliśmy do innych paczek prywatkowych. A to w kontaktach towarzyskich było najważniejsze.

Właśnie za sprawą Małgosi zapraszany byłem później od czasu do czasu na smakowite obiady i huczne imprezy do słynnej willi Urbanów w Konstancinie. Przy zastawionym stole oraz po posiłku w wygodnych fotelach wypada przecież o czymś rozmawiać. I znowu wkroczyła Małgosia, bo widząc, że dyskusja przygasa, zaczęła mówić o sporcie (sama ma w życiorysie epizod pracy w nieistniejącym już tygodniku „Sportowiec”). Jak na wstępie wspomniałem, na tematy teoretyczne w dyskusji nie ośmieliłbym się wznosić, tym bardziej że sam już nie wierzyłem w szczytne hasła szlachetnej rywalizacji i że sport to zdrowie, ale podszedłem do sprawy czysto praktycznie. Zdarzało mi się kierować redakcjami. Naczelna zasada, jakiej (zawsze przestrzegałem, nakazywała robienie gazety dla czytelników, a nie dla siebie. Dla siebie mógłbym wydawać ją w jednym egzemplarzu.

Każda gazeta, niezależnie, czy prawicowa, czy lewicowa, ma rubrykę sportową. A przecież ich naczelni nie muszą sportu lubić. Po prostu czytelnicy się tym interesują i trzeba ich oczekiwania zaspokajać.

Za komuny sport napędzał pocztytność prasy. Wszystko, co znajdowało się w środku, było ciężkostrawne, ale działy sportowe pozwalały drukować nakłady nieosiągalne dla dzisiejszych wydawców. Wiem coś o tym, bo kilkanaście lat pracowałem w dziale sportowym „Trybuny Ludu”.

Jerzy Urban po moich słowach zaciągnął się gauloisem, pomyślał chwilę i powiedział: „To napisz na próbę coś o sporcie”. Wyprodukowałem jakiś kawałek. Nie pamiętam już o czym ani czy był udany. Pamiętam tylko, że był bardzo krótki. Odzew Czytelników okazał się bardzo pozytywny. Uzgodniliśmy więc, że od czasu do czasu napiszę jakiś tekścik, byle nie o aktualnych wydarzeniach, bo nie będziemy się ścigać z telewizją i dziennikami. Z czasem przerodziło się to w stałą rubrykę i „Sportek” dostał swoje stałe miejsce na przedostatniej stronie tygodnika. Od ilu lat piszę te „Sportki”? Daję słowo, nie pamiętam, musiało ich jednak być już dużo.

Utrzymując rubrykę

Po wysłaniu każdego tekstu do redakcji

miałem wyrzuty sumienia, bo wiedziałem, że zadaje Jurkowi nieprzyjemną robotę. On nie był malowanym naczelnym. Czytał i często poprawiał wszystkie, ale to absolutnie wszystkie teksty. Ten sportowy także, choć w innej gazecie nawet by nie spojrzął na rubrykę poświęconą tej tematyce.

Gdyby przyniesiono mu „Przegląd Sportowy”, być może zawałałby się przed użyciem go jako podpałki w kominku w salonie konstancińskiej willi, w obawie żeby nie zatruć powietrza, z którego ta podwarszawska miejscowość słynie.

O tym, że Urban czyta moje teksty, przekonałem się niejednokrotnie, bo dzwonił później do mnie z uwagami.

Raz odrzucił cały tekst o opaskach kapitańskich w piłce nożnej, tłumacząc, że tak gównianym sprawom nie będziemy poświęcać miejsca. Musiałem prędko wymyślić coś nowego.

Zdarzyło się, że jeden tekst trzykrotnie pisałem od nowa. Chodziło o fizyczny ból, jaki jest udziałem sportowców. Dopiero trzecia wersja, w której zamieściłem medyczny opis procesów powodujących, że trafiony w szczęk bokser upada, zadowolila Szefa. Osobiście zatelefonował, żeby mnie o tym poinformować, a nawet pogratulować. Jerzy Urban, o czym już na pewno napisali inni autorzy, był niezwykle – nawet czasem w dość staroświeckim stylu – grzecznym i kulturalnym człowiekiem.

Kiedys od Szefa usłyszałem słowa, które naprawdę bardzo mnie zabolaly: „Już nie ma czasu, żebyś napisał tekst na inny temat. Puszczam go, ale tylko dlatego, żeby utrzymać rubrykę”.

Zawsze dostawałem sporo listów od Czytelników i Czytelniczek. Ostatnio – nie wiem dlaczego – jakby trochę mniej. Nie w każdej wiadomości jestem chwalony. Mailowa skrzynka pęcznieje, gdy zdarzy mi się rażać pomyłka. Kiedys zamiast MC napisałem MU, a kibice footballu, zwłaszcza angielskiego, wiedzą, jaki to ciężki grzech. Żadne słowa nie zabolaly mnie jednak tak jak te, że tekst jest puszczony tylko dla utrzymania rubryki.

Rubryka jednak jakoś do dziś się utrzymuje.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

 SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ: Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny, Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny, Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Micińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Taniewska, Marek Sanowski. Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP). WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o. ADRES redakcji i wydawcy: 00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9, tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68; tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58. DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.	INTERNET www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa. E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada. DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź, e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl	Poczta Polska – prenumerata krajowa: Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600 www.prenumerata.poczta-polska.pl „Ruch” S.A. – prenumerata krajowa: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰– 17⁰⁰. (koszt połączenia wg taryfy operatora). prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę: Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75	www.ruch.com.pl e-mail: prenumerata@ruch.com.pl Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta (koszt połączenia wg taryfy operatora): • połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803 • połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00 Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0 Sprzedaż elektroniczna: www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl Numer zamknięto: str. 1–16 – 27.09.2023 r.
--	---	--	--

SŁÓWKA PÓŁ- GŁÓWKA

W niedalekiej przyszłości Wikipedia zamieści nowe hasło – „Prowokacja görlitzka”. Fragmenty:

„Prowokacja görlitzka – polska operacja dywersyjna typu *false flag* na polską radiostację w Zgorzelcu, dokonana w czwartek 12 października 2023 r. o godz. 20.00, wykorzystana przez polską propagandę jako główny »dowód niemieckich prowokacji«. [...]»

Na rozkaz Kaczyńskiego akcję – w ciągu dwóch tygodni – przygotował minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński. Na to zadanie wybrał dowódców straży granicznej, którym szczególnie ufał. Wybór padł na oficera w stopniu pułkownika Ryszarda Kowalskiego.

29 września Kamiński wezwał do siebie Kowalskiego i poinformował o planach napaści na Niemcy. Wydał mu polecenia zainscenizowania na granicy polsko-niemieckiej kilku incydentów. Pierwszym zadaniem było przebranie kilku polskich więźniów z długoletnimi wyrokami i ich zamordowanie. Ciała następnie należało rozrzucić wzdłuż polsko-niemieckiej granicy w taki sposób, by wyglądało to na atak niemieckich żołnierzy na posterunki polskie. Kowalski udał się do hotelu w Zgorzelcu i czekał na rozkaz wkroczenia do akcji.

12 października po południu Kamiński uruchomił akcję hasłem: »Wujek umarł«. Następnie – na osobisty telefoniczny rozkaz Kamińskiego – usunięto ochronę radiostacji. O godz. 18.00 skierowano tam dwóch funkcjonariuszy straży granicznej, z których jeden miał wpuścić napastników przez furtkę w ogrodzeniu. Pomiędzy godziną 19.00 i 20.00 oddział Kowalskiego złożony z siedmiu osób opuścił hotel bez dokumentów (na wypadek ewentualnego aresztowania) i w zniszczonych ubraniach. Udawali oni cywilnych powstańców saksońskich. O godzinie 20.00 weszli przez tylne drzwi do budynku radiostacji görlitzkiej i bez przeszkód dotarli do sali nadajnika, gdzie pracowało trzech techników w asyście policjanta. [...]

Wchodzący w skład grupy Kowalskiego lektor zaczął czytać po niemiecku kilkuminutowy komunikat. Do radiosłuchaczy dotarło tylko dziewięć wyrazów: »Uwaga, tu Zgorzelec. Radiostacja znajduje się w niemieckich rękach...«. Następnie radio zamilkło z przyczyn typowo polskiego brakoróbstwa. [...]

Pod względem technicznym napad na radiostację w Zgorzelcu skończył się niewypałem i właściwą Polsce kompromitacją organizatorów, którzy popełnili jeszcze wiele innych błędów. Ale Kaczyński był na to przygotowany. [...] Prowokacja görlitzka była wykorzystana propagandowo w przemówieniu Jarosława Kaczyńskiego w sejmie 13 października 2023 r. Jarosław Kaczyński powiedział: »Tej nocy po raz pierwszy niemieccy żołnierze regularnych sił zbrojnych otworzyli ogień na naszym terytorium. Od godziny 5.45 (sic!) odpowiadamy ogniem«. Rzekomy atak regularnych sił niemieckich miał uzasadniać użycie siły wobec Niemiec».

Na podstawie hasła „Prowokacja gliwicka” z Wikipedii opracował

PRZEMYSŁAW CÍWIKLIŃSKI

Rok temu

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

zadzwoiła w poniedziałek rano do **GOŚKI DANISZEWSKIEJ** i usłyszała: „Łysy walnął w kalendarz”.

Daniszevska: – Ciagle mi strasznie złe bez niego. Nie pozabierałam jego braku w głowie, co chwila chcę mu coś opowiedzieć, a on jest pudełkiem popiołu. Węc wspominam... Znalazłam listy, które Łysy pisał do mnie na początku naszej znajomości. „A więc – stoję przed Panią otwarty na różne możliwości i ciekaw, czy i co z tego wyniknie. Czy będę użyty do wynoszenia śmieci oraz załatwiania sprawunków? Czy zostanę potem zaliczony do starych przyjaciół i w domu starców, gdzie Pani wylądjuje, będę podawał sztuczną szczękę i ranne pantofle?” Obiecał, nie dotrzymał.

Wołk-Łaniewska: – Świnia. Jak te, co siedzą w kinie na „Zielonej granicy”.

– Też bym posiedziała, ale nie mam siły iść do kina. Poczekam, aż będzie w telewizji...
– Jak prezydent Duda?

– Nie, zupełnie inaczej. On ze skąpstwa, żeby nie „płacić ekstra” za bilet. A ja z braku ochoty do życia.

– Byłam, mogę ci opowiedzieć.

– Po co? Wszyscy opowiadają. To na pewno dobry film i wstrząsająca opowieść, ale nie mam siły o tym myśleć. Tonę w przeszłości... Przypomniła mi się nasza druga randka. Akurat odnaleźli zwłoki Popiełuszki. Łysy mnie odwoził, stanął pod śmietnikiem, żeby z okien nie było widać, i mówi do mnie: „Pani Małgorzato, stała się rzecz straszna. Podejrzewamy, że jest to prowokacja. Nie wiem, co się dalej wydarzy, ale niech mi pani da dupy na wszelki wypadek”.

– Może gdyby Popiełuszki nie zabili, twoje życie inaczej by się ułożyło...

– Może... Wymyśliłam sobie, Wołku, że lepiej mniej kochać.

– Nie bardzo się znam na kochaniu, ale pewnie masz rację.

– Mam. Teraz przez tę miłość nie mogę spać. Zasypiam o dwunastej, a już o drugiej jestem obudzona... Śpiewam sentymentalne piosenki ze starych seriali i potwornie tęsknię: „Tak mi źle, tak mi łyso. Szary kot, szary pies, szare sny są”... I tak do rana. No i tej nocy już nie ma. A wstawać się nie chce...

– Nie dotarłaś na promocję książki o Urbanie...

– Nie miałam siły. Choć Dorotę i Marka bardzo lubię.
– Mówili o tobie.

– Opowiedz.

– Opowiadali, jak pierwszy raz umawiali się z Urbanem przez telefon na przyjazd do Konstancina i on znenacka zadał im pytanie: „Czy państwo jedzą mięso?”. Karaś, lekko zdziwiona, powiedziała, że nie je. „Państwo nie jedzą mięsa” – przekazał Urban komuś w tle. „Ja jem” – sprostował Sterlingow. „Pan je mięso, pani nie je mięsa” – przekazał Urban. I z głośnika dobiegł głos Daniszewskiej: „To powiedz państwu, żeby mnie w dupę pocałowali”...

– Prawdę powiedzieli.
– I jeszcze, że zawsze mówisz to, co myślisz, i to soczystym językiem...

– Też prawda.

– Wiem, wiem. Czytelnicy też wiedzą...

– Łysy przeklinał tylko w tekstach.

– To też mówili. I jeszcze powiedzieli, co mnie wzruszyło, że przeglądali w redakcji stare roczniki „NIE” i myśleli sobie: „Kurczę, jaka to była dobra gazeta”. Ja zaznaczę w tym miejscu nieskromnie, że nadal jest. Duch Urbana żyje w nas...

– Szkoda, że żadna z nas nie wierzy w duchy. Ale i tak będę wydawała „NIE”, póki starczy mi sił i środków. Ku chwale Łysego.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

Dialogi dam w drodze do kościoła



ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 267



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI